

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 190.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 16 maja 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Chrystus Pan (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Kościół Panny Maryi w Piotrkowie (z drzeworytem).—Typy ukraińskie (z drzeworytem).—Żółkiew (z drzeworytem).—Bazar w Poznaniu (z drzeworytem).—Jarema (dalszy ciąg). — Ludwik Bierkowski (dokończenie).—Rozmaitości.—Szachy. — Rebus.

CHRYSTUS PAN,

rzeźba allegoryczna z XIII wieku.

(Według fotografii Beyera).

Wystawa archeologiczna krakowska, której pismo nasze już wiele ważnych zabytków przeszłości zawdzięcza, dostarczyła także wzoru do niniejszej ryciny. Jest to posązek wysokości około 44 cali, wyrzeźbiony z jednej sztuki kości słoniowej; przedstawia on allegoryą o Chryście panu jako dobrym pasterzu. „Jamci jest on pasterz dobry, i znam moje i znają mnie moje.“ (Ew. śgo Jana r. X 14.) Zbawiciel nasz w ubiorze pasterza umieszczony na skale z której źródło wytryska, po bokach Najświętsza panna i śty Józef w postawie błagalnej. Poniżej dwoje ptaków pokrzepia się w zdroju i stado owiec się pasie; u samego spodu w grocie sta Magdalena pokutująca, jako symbol zbłąkanej owieczki.

Wykonanie figur i zwierząt bardzo słabe, nie pozwala sądzić o stylu; lepiej on się uwydatnia w ozdobach, które przypominają romańskie, a ztąd wnosimy iż zabytek ten, niewątpliwie autentyczny i bardzo dawny, z wieku XIII pochodzić musi; czy zaś u nas w kraju wykonany został, o tém wyrokować się nie ośmielamy, lubo to jest bardzo prawdopodobnem.

Wracamy do Chrystusa pana: znajdujemy u niego jedną owieczkę na ramieniu, drugą na kolanach, a trzecią u nóg. Niezupełnie to się zgadza z ewangelią, zawsze jednak widać, iż naiwny artysta starał się wyobrazić plastycznie następujące słowa takowej: „który z was człowiek, mając sto owiec, a straciwszy jedną z nich, izali nie zostawuje dziewięciudzieciąt i dziewięć na puszczy, a idzie za oną co zginęła aż ją znajdzie. A znalazłszy kładzie ją na ramiona swe radując się. A przyszedłszy do domu, wzywa przyjaciół i sąsiadów, mówiąc im: radujcie się ze mną, iżem znalazł owcę moję, która była zginęła.“ Ew. śgo Łukasza r. XV w. 4—6.

Rzadki ten i szacowny zabytek, będący własnością jks. kanonika Scypiona, miał być u-



CHRYSTUS PAN, rzeźba allegoryczna z XIII wieku.

(Rysował Tegazo z fotografii Beyera).

mieszczonym w album fotograficznem wystawy, czego z powodu stłuczenia szkła zaniechać musiano, z jedyne go zaś pozostałego odbicia dajemy tutaj wierny rysunek. K. B.

Kronika tygodniowa.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek,
I ja leczę pod niebiosami...

(J. B. Zaleski).

Niestety! mniej szczęśliwy od poety, którego uczucia autor Rusałek kręśli w tym wierszu, ja nie widziałem jeszcze drzew, nie słyszałem słowików, nie oddychałem świeżem wiejskiem powietrzem. Maj przedstawia mi się dotąd w perspektywie kominów widzialnych z mojego okna i dachów, które wieczne jakiś pilny murarz albo blacharz naprawia. Świeża woń wiosenna przybywa do mnie pomieszana z wyciewami odpadków warszawskich i z ciągłym dymem, który od pewnego czasu, niewiedomo dlaczego, wielce poziome objawia dążności i zamiast wzbiąć się w niebiosa, krąży po naszym padole warszawskim, ucieśniony z ciągłych kaszłów i zachrypnień jakich się staje powodem. A słowiki odzywają się do mojego ucha piskliwym sopranem piaskarzy, basem druciarzy i tenorem roznosicieli rzodkiewek, którzy na różne tony wysławiają przynioły swego towaru.

Maj dla Warszawy nieznosnym jest miesiącem odnowień i porządków.

Rozpoczynają się budować nowe domy, restaurują się stare, tu i ówdzie zagrodzona ulica pod pozorem naprawy bruku, a ta naprawa tymczasem tak się odbywa, że w miejsce starych dziur, powstają nowe, jeszcze gorsze. Kto nie wierzy, niechaj się przypatrzy lataniu bruków na placu teatralnym; powozy przejeżdżające tamtędy zmieniają się w prawdziwe huśtawki, a siedzący w nich odbywają różnorodne ćwiczenia gimnastyczne, żeby tylko utrzymać się na poduszkach siedzeniowych.

Ale najgorszą rzeczą z tego wszystkiego są porządki domowe.

Porządki domowe, to straszny wyraz! Pod tym pozorem na kilka dni jesteś pozbawiony własnego mieszkania, musisz się tulać po obcych kątach, przerywać zatrudnienia i prace, widzieć wszystko nie na swoim miejscu i nie móż potem trafić do niczego.

Wszędzie kurz, zgiełk, hałas, każdy sprzęt poruszony, słowem z twojego ulubionego pokoju, z tej pracowni, w której ciałem i myślą zamykałeś się, ze-

by się oderwać od często nużących, a zawsze nieprzyjemnych wrażeń zewnętrznych, robi się istna wieża babilońska.

Wien jednego z zeszłych dni, przyszedłszy do domu, znalazłem wszystkie swoje papiery leżące w dwóch wielkich stosach na podłodze. Porządki domowe wyparowały je ze zwykłego miejsca pobytu, a wandal-ska ręka porządkujących, mniej bacząc na sens w nich zawarty, bo nie mając zapewne czasu troszczyć się o niego, ułożyła je podług wielkości, listy na artykułach, broszury na korektach, większe na spód, mniejsze na wierzch. Systemat piramidalny był tam wcale konsekwentnie zachowany; owe obeliski z papierów zwęzły się dość symetrycznie w drodze swojej ku górze, ale zato zapomniano o wszelkich wymaganiach literackich, o wszelkim porządku dat, przewr-lejach wieku, ważności i wartości wewnętrznej.

Niema rozpacz ogarnęła mnie na ten widok. Ale złe już się stało; lepiej więc starać się o zarządzenie mu wedle możliwości, zamiast oddawać się skargom niepotrzebnym; tak przynajmniej uczą dobrze zrozumiane przepisy filozofii praktycznej. I właśnie przypomniałem sobie, że oddawna już to porządkowanie międzypapiérowe sam miałem odbyć, alem zwlekał ciągle do wolniejszego czasu, do sposobniejszej chwili. I zwlekanie to trwało z jakie lat parę; nagromadziło się więc sporo materiałów papierowych, i doprawdy dobra ich połowa była mi prawie nieznana. Odbierałem bowiem sporo korespondencji i artykułów, z których nie mogłem w swoim czasie korzystać, raz z powodu kilkakrotnych przerw jakie w szeregu kronik swoich uczynić musiałem, a powtórę że czasy były nie potemu. Był to więc dla mnie kraj odkryć, nowa Ameryka piśmienna, i z ciekawością nieledwie zabrałem się do roboty.

Oto list na zielonym papierze, z cyframi u wierzchu; ręka wcale mi nieznana, adres z prowincjonalnego miasta. Czytajmy, może jaka nowina, którą niebacznie pominęliśmy.

Mości redaktorze!

Miasto nasze zelektryzowane zostało wieścią, że uwielbiany nasz *** przybywa. W miejsce codzienniej ociążałości, wszczął się ruch niezwykły. Jedni do drugich biegali z pożądaną nowiną, dopytywano się gdzie i po jakiej cenie, chciano zamówić wszystkie miejsca z góry. I rzeczywiście wkrótce dały się widzieć afisze zapowiadające koncert.....

... A więc to o koncert idzie. Prawda, był czas kiedy dawaliśmy sprawozdania o koncertach. Zobaczmy datę tego ważnego i pożądanego faktu dla miasta N. 28 kwietnia 1859 r. Zamiast nazwiska korespondenta, podpisany tylko *lubownik muzyki*.

Biędny liściku, jakże długi czas przeleżałeś nieotwierany na stole moim! A dziś, po czterech latach, wydajesz mi się jak gdyby z tamtego świata pi-sanym. Idź w krainę zapomnienia, gdzie Bielawski Woltera przebranego *po węgiersku* odsyłał.

A tu bilecik jakiś na welinowym papierze...

„O jakżeż słusnie czynią pisma publiczne, że zachęcają do składek na Konserwatorium muzyczne! To fakt cały kraj obchodzący, to pomnik dzisiejszych czasów, który nigdy nie zaginie. Jak słyszałam, tysiące zebrano już, ale to mało, ciągle mało jeszcze, jeżeli mamy brać miarę z zapasu jaki urządzenie tak ważnej narodowej instytucji powinno wzbudzić w ziomkach naszych. I czemuż pan w kronice swojej tak mało o mającym powstać instytucie muzycznym pisujesz? Powinienbyś co tydzień powtarzać odezwy, zdawać sprawę z zebranych już funduszy, zachęcać do ciągłych składek. I cóż może więcej obchodzić ogół, nad wiadomości tego rodzaju! U nas zawiązano już towarzystwo do zbierania składek; do jednego z nich ja należę, i z biędnej naszej okolicy udało nam się zebrać 2734 zlp., które wkrótce do ogólnych funduszy dołączone zostaną. Wielce się cieszę że mogę o tak pocieszającym fakcie donieść Tygodnikowi. Ale weźże się pan serdecznie do tej sprawy.

Emilia.

O droga, serdeczna, kochana Emilio! Jakże dziwnie brzmi mi w uszach ta twoja odezwa, którą sobie głośno odczytuje. Tak pożądaną przez ciebie instytucję muzyczną już się zawiązała i kwitnie w najlepsze, garnąc do siebie chciwą melody i harmonii młodzień. Bądźże szczęśliwą i spokojną na sumieniu, Emilio, która oziębłości mojej gorzkie czynisz wyrzut! Ten fakt ogólniej doniosłości jest już dokonany i przyszłość muzyczna ogółu zapewniona. A kiedy tak się stało, mogę i twój list odrzucić na stronę.

„Za obowiązek poczytuję sobie donieść panom o prawdziwym *fenomenie*, jaki w tych czasach wykwił w naszych stronach i całą okolicę w podziwienie wprawia. Tym fenomenem jest młoda, dziecko prawie, bo zaledwie czternastoletnia dziewczyna, z olbrzymim talentem poetycznym. O panowie! jakie uczucie!

jaki zapal! a przytém jak umiejętne panowanie nad formą! Ta dziewczyna będzie kiedyś pierwszym poetą polskim! Chwała dla stron naszych, że taki owoc wydały! Korespondent gazet z naszego miasta powiatowego, nie może się wydziwić jej łatwości i umiejętności dobierania sobie przedmiotów, i o ile mi wiadomo, pisze duży artykuł z obszernym rozbiorem prac jej znanych już całej okolicy. Ale ja postanowiłem go uprzedzić i przesłać panom pierwsosnek tego faktu. Pośpieszcie się więc z wydrukowaniem tak pożądanego dla ogółu wiadomości, a na próbę posyłam wam wiersz jej, napisany do pomocnika naczelnika powiatu, który to szanowny urzędnik przez dwa dni gościł w domu jej rodziców, a jako człowiek wielce wykształcony, odechwalić się nie mógł jej talentu.“

Tu następują bite cztery stronicie wierszy, których nie mam odwagi przeczytać, tém bardziej że już gazety musiały mi schwycić tę wiadomość, data bowiem listu również dość dawna.

Do koszyka więc list i wiersze.

„Donoszę panom o ważnym bardzo fakcie w okolicy naszej. W dniu 4 września b. r. wypadły imieniny pani Rozalii, powszechnie szanowanej i czonej w okolicy obywatelki. Postanowiono więc urządzić dla niej niespodziankę: zebrał się teatr amatorski...“

Tego już nie przeglądam nawet dalej... do koszyka.

Znowu o instytucie muzycznym, jedna, druga, trzecia korespondencya. Ten instytut widać wielu ludziom leżał wtedy na sercu.

„Raczej mi pan donieść o losie komedij na konkurs przysłanych. Rzecz widzę idzie w przewłokę. Sędziowie zbierają się ciągle i nie mogą jakoś sądu wy-dobyć z siebie. Znam tylko tytuły sztuk które gazety wliczały, a przynaję że niektóre z nich podobały mi się, i nawet zainteresowały mnie niemało. Szczególniej...“

Niestety! ten list wonieje odrzuconym autorem, który z panegirysty w ostrego krytyka później się zapewne przemienił.

Takto wszystko zazwyczaj zmienia się na świecie,

Śnieżna zima nastaje po kwiecieściem lecie.

I patrzcie państwo, jako mając do czynienia z wierszopisami, człowiek niechący wiersze pisze zamiast prozy. Do koszyka więc, żeby zaraza nie rozszerzyła się dalej.

„.....Przymowialiśmy go wszyscy ze czcią, jaka się należy człowiekowi tak zasłużonemu. Wiadomo panu że istnieje u nas gmach reśursowy z okazałą salą, w której kilkadziesiąt osób wygodnie może zasiąść do stołu. Tam więc urządzono składkowy obiad, na który oprócz znaczniejszych osób z miasta zaproszonych, zebrało się wielu obywateli z okolicy. Kiedy podawano lody i szampańskie wino, znany nasz *zaimprovizował toast następujący:

Gdy przeznaczeń lotnych chóry

Prowadzą cię w nasze mury,

Ogółowi mężu miły

Pozwól, że w gronie czcig cichém

Uczęzą cię me słabe siły

Szacunku pełnym kielichem.

Jedni mają pełne kufry,

Drudzy wysokie godności,

Lecz nad wszystkich lot swój rości

Chwała kraju—nasz Onufry!!

A on odpowiedział pełną skromnego rozręzwienia mową i przy ostatnich słowach, dwie łzy zabły-sły w jego oczach.....“

Niestety! Ta wielka zasługa, ten toast improwizowany i ta mowa ze łzami w oczach, wszystko to przebrzmiało są rzeczy; do kosza więc z niemi.

A tutaj co znowu? Gorące wystąpienie jakieś przeciwko starozakonny, skarga na lichwiarzy, skarga na faktorów, skarga na podstawionych dzierżawców, na podrobione konsensa. I to także dawne, bardzo dawne dzieje, *tempi passati*. *Nous avons changé tout cela*, jak powiada Moliér. Dzisiaj serce jest po prawej stronie, a wątroba po lewej, więc się nie dziw panie pacyencie, że doktor zadaje ci leki stosowne do nowej pozycyi tych dawnych organów. I rzeczywiście nie dziwię się, że nawet wówczas korespondencya ta poszła w zapomnienie, bo nie należałem nigdy do tych, co beżwzględnie rzucali kamieniem na starozakonnych, przypisując im wszelkie złe jakie tylko wynaléż się na nich i przeciw nim dało. Ważna to część ludności krajowej, i jeżeli rzeczy pój-dą dalej drogą już wytkniętą, polscy obywatele wyznania starozakonnego wprowadzą właśnie do nas żywioł jakiegoś nam brakowało, żywioł zabiegliwości i troskliwości handlowej. Ten przymiot, który Niemcy mają sobie wrodzony, starozakonni wszczepią w nas połączeniem się z nami. Do kąta więc z niepotrzebną

korespondencyą, którą wtenczas już nawet za zbyt-eczną uważaliśmy.

A... tutaj dobiórąmy się do trochę nowszych już czasów. Donoszą nam z kilku miejsc o zakładaniu czyteln, o obracaniu na ten cel funduszy, które dawniej na zabawy zużywane bywały. Dwie czyteln, trzy, cztery! mnożyły się one ciągle; nie dziwnego więc że miejsca nie starczyło na drukowanie tego wszystkiego. Dobrze to i użyteczne wiadomości, ale często powtarzały się jedna po drugiej. Dopelnienie obowiązku nie jest cnotą, a widać u nas brano nieraz jedno za drugie.

To mi przypomina, że sprawozdawca jednego z pism tygodniowych tutejszych, mówiąc niedawno o kassach pożyczkowych na słowo przy tutejszym towarzystwie dobroczynności i ubolewając że trwanie tej instytucji jest zagrożoném, ponieważ wielu z pożyczających, wzięwszy fundusze do ręki, ani się już pokazali, oddając zarazem wielkie pochwały dłużnikom, którzy nie poszli tym torem i zwrócili należność. Zdaje nam się że pochwały są tu nie na swoim miejscu. Ci ludzie wypełnili tylko świętą powinność swoją; za cóż ich przeto chwalić? Czyż chwalimy tego co nie kradnie albo nie zabija? Jeżeli będzie to czynił, wart przy-kładnego ukarania, jeżeli nie, pozostaje tylko zwykłym człowiekiem, wypełniającym konieczne warunki jakie społeczność na każdego ze swoich członków wkłada. Kto wzięwszy fundusze z kass pożyczkowych na słowo, nie myśli o ich oddaniu, ten krzywdzi ubogich swoich współbraci, którzy z tego dobrodziejstwa mogli i powinni tak samo jak on korzystać; jest on więc gorzej niż nierzetelnym dłużnikiem, jest złodziejem grosza publicznego, marnotrawcą ogólnego dobra. Czyliż godzi się nazwać cnotą nieczynienie tego? Nie na bierném zachowaniu się zależy moralność; istoty biernie tylko dobre i pocziwe, nie jeszcze nie zbudowały. Za czyn jedynie należy się pochwała i odznaczenie. Wytykajmy wady, nadużycia, postęпки naganne; ale tych, których całym przymiotem jest że chronią się od tego moralnego upadku, zostawmy w spokoju; inaczej każdy z nas będzie mógł sobie mieć za zasługę, że dotychczas wezwania z sądu poprawczego nie otrzymał.

Przy sposobności wspomnę tu o innym fakcie jeszcze. W ogólności ludzie skarżą się dziś na ciężkie czasy, na zły stan interesów pod względem materialnym. I zgadzajcie do czego biorą ztąd pochop nie-korzy? Oto do nieplacenia komornego. Tak jest, ani na jotę nie przesadzam. Wielu powiada, że placić komorne nie jest dziś na dobie; niech sobie właściciel radzi jak może, a oni powinni zadarmo mieszkać.

Przedewszystkiém muszę tu oświadczyć, że nie jestem posiadaczem żadnej nieruchomości, owszem wiele razy występowałem przeciwko zbyt-nim wymaganiom właścicieli domów, którzy przesadzonymi czynszami obciążają swoich lokatorów. Ale to wszystko nie jest dowodem, żeby samowolnie oswobadzać się od zaciągniętych obowiązków. *Redde quod debes*, oddaj coś winien, oto wieczna maksyma, która w każdym czasie i na każdym miejscu powinna mieć swoje zastosowanie. Takich węzłów żadne wyjątkowe okoliczności zwalniać nie mogą; bo jeżelibyśmy nie mieli placić za komorne, dla-czegóżby placić za ubranie, chleb, bulki, mięso? Niech rzeźnik, piekarz, krawiec radzą sobie jak chcą, niech bankrutują razem z właścicielami domu, a nam co do tego? Nie rozumiem tego rodzaju katońskiej cnoty, która cudzą krzywdą żyje. A zresztą i właściciele domów mają swoje obowiązki; jakże potrafią uczynić im zadość, jeżeli dochodu nie będą mieli? Znałem tu jednego i drugiego jegomościa, którzy nieprawemni zyskami dorobili się majątków, a potem na różne cnoty wydawali pieniądze i uchodzili za bardzo wspaniałomyślnych. Zawsze to było cząsteczką zasługi z ich strony, że nie szczędzili na dobre uczynki; ale Bogiem a prawdą te drobne sumki poświęcane przez nich były tylko cząstką kradzionego grosza, który podług wszelkich zasad sprawiedliwości cały należało zwrócić. Nieplacący komornego powinni pamiętać o tém, że pieniądze które przetrzymali nie do nich należą, że nie mają do nich żadnego prawa, że są tylko nierzetelnymi dłużnikami i nie więcej. „A mnie co do tego? mówi Zabłocki, oddaj coś winien, a jeżeli nie, to za łeb.“ Zabłocki ma wielką słuszność. I wiele rzeczy jego, jakkolwiek w innych czasach pisanych, odczytywałyby sobie dziś trzeba dla nauki.

Wracam do swoich papierów.

Ot znowu prawdziwy potop. Korespondencye o zakładanych szkołkach po wsiach. Mrowi się tego i ztąd i zowąd, a wszyscy z wielką skromnością donoszą o nazwie miejscowości; trzeba żeby świat wiedział że w Pustkowie, w Dębowej woli lub w Czworakach na lewo od gorzelni założono szkołkę, gdzie miejscowy ogrodnik uczy trzech chłopców i

cztery dziewczęta, (przychodzące dwa razy na miesiąc) czytać z dwóch elementarzy w Warszawie zakupionych. Zawsze to nasze ubieganie się za pochwałami Założyłeś szkołę bractwu, tym lepiej dla ciebie i dla właścicieli twoich i dla stosunków ich z dworem, które są właściwym gruntem na jakim się opiera pomyślność krajowa. Ale to wszystko dopełnienie tylko obowiązku, a często dopełnienie połowiczne, pozorne, uczynione może dla rozgłosu. I rzeczywiście, przez pewien czas pisma nasze formalnie zalewane były wiadomościami tego rodzaju. Aż wreszcie wzięto się na sposób: nie ogłaszano już gdzie szkółki zakładają się, ale wytykano miejsca gdzie ich nie było. My pierwsi postanowiliśmy sobie trzymać się tej taktyki i wysłała nam ona na dobre. I z tego to powodu taką masę korespondencji o szkołkach muszę teraz odłożyć do kosza. I ileż to nazwisk, które miały przekazać się potomności, idzie teraz w zapomnienie! *Sic fata voluerunt.*

Ale brak mi już czasu i cierpliwości na dalsze czytanie tych wszystkich korespondencji, wiérzy i reklamacyj. Więc idźcie razem w czarnych wód głębinie!

Składam je w ogromną pakę i już wszystko uporządkowane. Zaledwie jednak to uczyni, chwytamnie wyrzut sumienia, czym może krzywdy nie wyrządził jakiemuś dobremu i pożytecznemu artykulowi. Ale pociesz się, nieznany autorze, ktokolwiek jesteś; losu jakimś popadł, i my także doświadczamy, my wszyscy pisarze jednej chwili, czytani dziś, zapomniani jutro, szczęśliwi jeżeli użytek z tego co napiszemy, przez jeden dzień chociaż był istotnym.

SIELSKA PIOSENKA.

W gaju zielonym rośnie kalina,
Powój miłośnię główkę doń wspina;
Piękna kalina drzeniem przynęca,
Powój jej wiotką kibić okręca;
Blade kaliny lica splonęły,
Gdy się modrego kwiatu dotknęły.
Powój coś szepce tęskno do ucha,
Skromna kalina niby nie słucha,
Lecz snąc stanowczą była ta chwila,
Bo się miłośnię k'niemu nachyla,
I od tej pory czarowna siła
Powój z kaliny kwiatem złączyła.

Wtém wiatr, co szumił gdzieś za dąbrową,
Zbliżył się do niej, szepnął jej słowo:
Piękna kalina, wstydem płonąca,
Swego kochanka żywo odręca;
Lecz téjże chwili w silne ramiona
Wiatr ją pochwycił, gniece do łona,
Krwawi jej lica, tuląc ognisćcie,
Zimnym oddechem szarpie jej liście,
W końcu łodygę wątłą wyrwya,
Rwąc jej ostatnie z ziemią ogniwa,
Niesie nieżywą w stronę daleką...
I wszystko znikło—tylko nad rzeką,
Na jasnych kwiatach bratniej doliny,
Perłą się krwawe łezki kaliny.

Powój wzgardzony, bez czucia prawie,
W niemój rozpaczyległ na murawie,
I chociaż żyje, chociaż oddycha,
Już nie podnosi kwiatu kielicha,
Bo oplakuje w mgliste poranki
Stratę kaliny, stratę kochanki.

Severyn Zaleski.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

15 maja.

W d. 8 b. m. nastąpiło uroczyste zamknięcie posiedzeń ciała prawodawczego w Paryżu; przyczem wybory do nowego zgromadzenia, na mocy dekretu, na dzień 31 maja zapowiedziane zostały. Ostatnie surnowe rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych, dały powód do nieporozumień w łonie gabinetu. PP. Walewski i Drouyn de Lhuys tak żywo powstali przeciw p. de Persigny, że cesarz polecił mu zachowywać nadal większą oględność i wyrozumiałość względem ruchu wyborczego. W tym duchu skreślony został okólnik p. de Persigny do prefektów, wydany w d. 9 b. m. Przypominając wielkie dzieła dokonane przez cesarza, p. de Persigny dodaje, że monarcha francuski odwołuje się do zaufania ludu, do czulej wierności jaką kraj otaczał i bronił cesarza. Napoleon III pragnie aby nowe ciało prawodawcze, którego mandat ukończy się prawie w przeddzień dościa do pełnoletności cesarzewicza, okazało się równie przychylnie dla rządu jak poprzednie zgromadzenie. W ogólności p. de Persigny dowodzi konieczności mieszan

się rządu do wyborów, dopóki będą istniały we Francji stronnictwa nieprzychylnie zasadniczej ustawie, lecz jednocześnie upomina prefektów, aby w niczem nie tamowali swobody kandydatur i wyborów. Z tém wszystkiem opozycja nie traci ani odwagi, ani nadziei, i utworzyła wyborczy komitet, do składu którego wchodzi: pp. Carnot, Cremieux, Floquet, Marie, Henryk Martin, Juliusz Simon i t. d., wszyscy znani przeciwnicy dzisiejszej administracji. Mówią że po ukończeniu wyborów nastąpi zupełna zmiana gabinetu. Wiadomości z Meksyku coraz pomyślniejsze dla oręża francuskiego. Armia francuska zdobyła wszystkie prawie bastiony i szaniec naokoło Puebli. Oprócz bastionu Jarvier dostał się w ręce generała Forey, dom aresztu i kościół katedralny. Francuzi dotarli do placu targowego przez zabarykadowane ulice, co dowodzi że i Meksykianie walecznie bronili miasta. Straty Francuzów wynoszą do 450 zabitych i 500 rannych. W ręku Meksykanów znajdują się tylko dwa bastiony: Guadalupe i Loretto. Tamże spodziewają się codziennie wiadomości o zdobyciu Puebli i poddaniu się Meksyku. Tamże krążyła pogłoska, że marszałek Pellissier, w skutek sąsiedztwa z generałem Juzuffem, stawiony być ma przed sądem marszałków. Na posiedzeniu izby gmin w Londynie, pp. Hennessy, Bentinck, Lennox, Izraeli i inni, interpelowali gabinet w kwestyi włoskiej, składając na rząd angielski część odpowiedzialności za obecny stan Włoch południowych. Odpowiedzieli na te zarzuty Layard i Palmerston. Ostatni zwrócił uwagę izby na tę okoliczność, że smutny stan Neapolu jest spadkiem po przeszłych rządach. Lord Palmerston twierdzi, że rząd włoski wiele już zrobił dobrego w ostatnich latach i gdyby nie bandy rozbójnicze tworzące się na gruncie rzymskim, stan prowincyi neapolitańskiej nie przedstawiałby tak smutnego obrazu. To ostatnie twierdzenie ministra opiera się na raporcie kommisji o rozbojach, odczytanym na tajnym posiedzeniu izby deputowanych w Turynie w d. 5 maja. Wnioski kommisji wykazują jawne współnictwo niektórych władz rzymskich w wyprawianiu band do prowincyi neapolitańskiej.

W izbie berlińskiej kwestya reorganizacyi wojskowej wciąż jeszcze stoi na porządku dziennym. W d. 9 b. m. minister wojny p. v. Roon rozbiierał szczegółowo raport kommisji o projekcie rządowym. Minister silnie występował w obronie reorganizacyi i oświadczył, że uważa ją za jednoznaczna z bezpieczeństwem kraju i że nie widzi świętszej nad to sprawy. Na posiedzeniu w d. 14 maja, Howerbeck i Sybel gwałtownie atakowali ministra wojny, twierdząc że słuszność jest po ich stronie, że pragną także wzajemnej miłości i zaufania, że wreszcie domagają się takiego prawa, któreby ściśle oznaczyło prawa korony i parlamentu. Deputowany Sybel oświadczył nadto, że reorganizacya chybia celu i wręcz jest przeciwna duchowi praw z 1814 r., że jeszcze Fryderyk II rozwiązywał bataliony i pułki, skoro siły finansów kraju stały temu na przeszkodzie. Minister wojny, występując w swą obronę, przerwał mowę p. Sybel, na co wice-prezes Bockum-Dolffs odpowiedział wezwaniem p. Roon do porządku, gdy zaś ten ostatni nie chciał poddać się temu rygorowi, odwołując się do ustawy, wice-prezes nakrył głowę i posiedzenie zerwanem zostało. W kwestyi szlezwicko-holsztyńskiej nic dotąd stanowczego nie zaszło, negocjacye wszakże między dwoma dworami, Berlinem i Wiedniem, nie ustają w tej sprawie.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. Constitut. France).

Ostatnie depesze. Londyn 13 maja. Z okoliczności krótkiej rozmowy o zaszłych nieporozumieniach między p. Odo Russell i generałem Montebello, powiedział lord Palmerston w izbie niższej: według wiarygodnych wiadomości, organizują teraz w Rzymie straszną bandę rozbójników. Władze francuskie są za to odpowiedzialne, gdyż papieżkie zupełnie im ulegają.

Berlin 13 maja. Stronnictwo postępowe pragnęło odbyć dziś posiedzenie, w celu obradowania nad adresem, żądanie to jednak odrzuconem zostało. Na posiedzeniu w d. 12 b. m. prezes izby p. Grabow odczytał list z ministerium stanu, w którym powiedziano że dopóki marszałek trwać będzie w zamiarze ograniczenia swobody mówienia ministrów, ci nie będą się znajdowali na obradach izby.

Berlin 13 maja. Kommissya układająca regulamin izby deputowanych jednomyślnie postanowiła: 1o że prezes izby każdemu mówcy, nawet ministrowi, przerywać może; 2o że przez to konstytucyjne prawo ministrów nie jest naruszonem; 3o że nie jest to zgodnem z ustawą aby minister czynił obecność swoją w izbie zawisłą od warunków; 4o że wreszcie izba nie widzi się w obowiązku zadosyćuczynienia wymaganiom ministrów.

KOŚCIÓŁ PANNY MARYI

W PIOTRKOWIE.

Tuż za miastem, na końcu Krakowskiego Przedmieścia w Piotrkowie, wznosi się na wyniesieniu kościółek pod wezwaniem Panny Maryi. Założony w roku 1373 przez Jana Kmitę starostę sieradzkiego, należał zawsze do probostwa piotrkowskiego, a był fundowany z warunkiem odprawiania w nim mszy świętej za duszę króla Kazimierza Wielkiego i jego poprzedników. Okoliczność ta dała powód do mniemania powtarzanego dotąd w opisie naszego kraju, jakoby królowa Jadwiga była jego założycielką, czemu sama data erekcyi najdowodniej zaprzecza; księżniczka bowiem Jadwiga, urodzona w r. 1374, zaledwie dwa lata mająca, nie mogła jeszcze wtedy myśleć ani o tém że kiedyś będzie panowała w Polsce, ani o zakładaniu jakiegokolwiek w niej fundacyi. Cóżkolwiek-bądź, presbyterium murowane tego kościółka przypomina nieco gotyckie formy. Nawa także murowana, a na jej wierzchu wznosiła się dawniej drewniana sygnaturka, zwykłym polskim kościołom kształtem. Sygnaturkę tę przed kilkunastu laty, gdy była znacznie uszkodzona, rozebrano i kościół nowym pokryto dachem, który jednak wystawionym będąc na silne działania wiatru, z powodu odosobnionego i wyniosłego położenia kościółka, wkrótce zniszczony został. Dziś budowla ta, pomimo naprawienia dachu, w smutnym znajduje się stanie i mianowicie po ostatniej burzy, która w lecie 1848 r. tutaj się zdarzyła, nie może się podnieść ze swego upadku. Otacza go dokoła starodawny cmentarz do probostwa należący, na którym spoczywają zwłoki najznakomitszych okolicznych rodzin.

ZÓŁKIEW.

Poranek majowy rodził się w całym blasku świeżości i zieleni, kiedy po raz pierwszy opuszczałem Lwów, dla zwiedzenia Żółkwi, téj siedziby trzech potężnych rodów, jaśniejących niegdyś w ojczyźnie bohaterstwem, poświęceniem, koroną. Z wieży wołoskiej cerkwi dzwon ponurym jękiem, dziwnie sprzecznym z pięknoscią wiosennego ranku, wybił godzinę czwartą. Rozespane promienie słońca czepiały się po szczytach wież, drząc wybiegały na wyniosłą zamkową górę i uroczo rozścięły odleglejsze wzgórza panujące nad Zofijówką i Żelazną Wodą; samo miasto leżące w dole obwijały jeszcze tumany senne mgły niebieskawej.

Bryczka zaprzężona dwoma dziarskimi karosami, szybko niosła nas przez przedmieście janowskie, pograżone jeszcze we śnie. Załatwiwszy formalności rogatkowe, wybiegliśmy na szerokie pola, które niegdyś do Chmielnickiego, to Doroszeńki, to tatarskie zalegały hordy.

Rozmowa zwróciła się w owe czasy, a towarzyszy mój, który zrodził się i wychował w okolicach Lwowa, to objaśniał mi legowiska Kozaków i Tatarów, to wskazywał pola bitew w tych miejscach przed laty staczanych.

Tymczasem słońce podnosiło się coraz wyżej i wyżej; faliste wzgórza opodal drogi oblekała majowa, przecudna zieloność, zachwycająca co roku długą zimną przynięcioną sercą; miły chłodek orzeźwiał i chronił od gorętszych coraz promieni słońca; w dali po lewej ręce rozciągał się nieprzejrany staw, a wprost drogi widać było jakieś miasteczko, z kościołem i potrójną kopułą ruskiej cerkiewki.

— Czy to już Żółkiew? zapytałem swego towarzysza.

— Ho ho! bracie, do Żółkwi mamy drugie tyle; to Kulików, miasteczko niegdyś do Żurawińskich należące, a przez Stanisława Daniłowicza do Żółkwi dokupione; sławne od niepamiętnych czasów na całą ruską ziemię miodami, które tu znakomicie warzyć umiano: żaden sejmik, żaden odpust, na kilkanaście mil w kolo, nie obył się bez miodu kulikowskiego. Sławny tutejszy dereniak dał materjał s. p. J. N. Kamińskiemu do napisania przewyborniej gawędy szlacheckiej „Przypadek na odpuszczenie.”

Przejechaliśmy stolicę dereniaku, opuszczoną, biędną i zaludnioną ubogimi potomkami miodosłowników izraelskich, którzy przez długi czas przechowywali sekret osobliwszego przyrządzania rubinowego płynu i podobno do dziś dnia go przechowują.

Po za Kulikowem droga równa i prosta wiedzie ku odległym wzgórzom, czarnymi pokrytym borami. Co chwila spodziewałem się ujrzeć na wyniosłym urwisku zamek, stary gród Żółkiewskich, Daniłowiczów, Sobieskich, ale nadzieje moje zawiedzione zostały. Żółkiew ukazała się na koniec, jej kościoły wybiegły ponad domy, ale zamku widać nie było.

— Czy zamek leży opodal miasta?, zapytałem towarzysza.

— Spójrz na lewo—tu w samym mieście—budynki ten czworokątny, frontem jedną połac rynku zajmujący, to żółkiewski zamek.

Zawiodłem się zupełnie. Wystawiałem sobie gród wspaniały, godny hetmańskich i królewskich mieszkańców; tymczasem żółkiewski zamek z zewnątrz przedstawia się bardzo prozaicznie. Budowla o jednym niskim piętrze, dość obszernie rozmieszczona, z czterema czworokątnymi basztami, nie wyższymi nad pięć do sześciu sążni, obdarta, pochylona, smutny bardzo przedstawia widok. Przed frontowym skrzydłem znajduje się ogródek, założony widno przez urzędników obwodu, którego biuro przodowy gmach zamku zajmuje. Na lewej stronie ogródka stoi posąg Herkulesa na maczudze oparty, mający głowę na zachód zwróconą, pierwszy widomy zabytek dawnej tych miejsc wielkości.

Wjechaliśmy przez wysoką, w kamienną oprawę osadzoną bramę na dziedziniec zamkowy. Dziedziniec ten, obszerny, tworzy regularny czworobok, dokoła zabu-

krakowskiego, ojca Jana III. To sześć... siódmy w środku kolosalnej wielkości, na podstawie kamienną umieszczony, przedstawia Jana III na koniu, w rycerskiej zbroi, w królewskim płaszczu, z jabłkiem w lewej, z berłem w prawej ręce, u podstawy dwaj rycerze w zbrojach.

Naprzeciw posągu królewskiego, w murze zamkowego skrzydła jest framuga, a w niej popiersie niewiasty, przedstawiające Katarzynę z Sobieskich Radziwiłłową. Posągi te wystawił w r. 1753 książę Michał Radziwiłł, ówczesny dziedzic zamku. Dziś jednak znajdują się one w nader smutnym stanie: podtrącane ręce, nogi, nosy, buławy i wszystkie wystające części kamienia, które łatwo było zgruchotać.

Z gorączkową niecierpliwością wbiegłem z galerii do komnat, niegdyś przez oswobodziciela Wiednia zamieszkiwanych; ale tu również zawód, rozczarowanie i boleść. Niewszystkie można było obejrzeć, gdyż niektóre zajmowali nowi zamku mieszkańcy. Jedna z wspaniałych sal, podzielona przegrodami drewnia-

wym płomieniem. Tu długie przepędzał chwile w niemocy, na schyłku swego życia, w roku 1693; tu mieszkał wówczas przez dziesięć miesięcy, zanim pożegnał swą ukochaną Żółkiew. Przed kilkunastu jeszcze laty wisiał nad kominem tym portret królewicza Jakuba, ale i ten jakaś niechętna ręka zład usunęła.

Opuściliśmy w bolesnym wzruszeniu zamek i wyszliśmy na rynek. Miasteczko porządnie zabudowane: rynek czworoboczny, obszerny, otaczają kamienice piętrowe, lub domy parterowe murowane; w lewej połaci od zamku stoi fara, ku której zwróciliśmy swoje kroki.

Piękny ten kościół, zbudowany r. 1594 przez Stanisława Żółkiewskiego, z kamienia ciosowego, w postaci krzyża, z dachem miedzią pobitym i osobną dzwonicą, jest skarbcem przeszłości Żółkwi. Dawne pamiątki, jakoby nie znajdując nigdzie opieki a nawet bezpieczeństwa, tu się schroniły. Już zewnątrz zapowiada, czego po wnętrzu spodziewać się można; na każdym rogu, wśród ozdób kamiennych, znajduje się



KOŚCIÓŁ PANNY MARYI W PIOTRKOWIE. (Rysował z natury i rytował Fabijański).

dowany. Lewe jego skrzydło piętrowe zajmuje urząd kameralny, czyli zarządu dóbr skarbowych. Prawe, także piętrowe, prywatni zamieszkują. Okna poroztwierane, a w nich porozwieszane koldry, bety, bieliza... oburzający widok w tém miejscu pamiątek, gorzka ironia, szyderstwo przeszłości. Karłowate pokolenie zajmujące przybytek wielkości, tak straciło poczucie poszanowania, że jakby umyślnie stara się plugawić gniazdo bohaterów.

Głęb' dziedzińca zamkowego naprzeciw bramy zajmuje skrzydło parterowe, o sześć lub ośm stopni nad poziom wzniesione. Tu właśnie było pomieszkowanie Jana III. Skrzydło to zdobią arkady na ośmiu kolumnach kamiennych wsparte; tuż przy nich znajduje się siedm posągów, z twardego piaskowca wykutych, a mianowicie: Michała Radziwiłła kanclerza w. lit., Stanisława Żółkiewskiego hetmana, Jana Daniłowicza wojewody ruskiego, Michała Kaźmirza Radziwiłła wojewody wileńskiego i Jakuba Sobieskiego kasztelana

nemi, dochodzącymi do połowy wysokości, zawalona była różnego rodzaju zbożem; w innej jakieś graty, koła, wasagi, żelazta. Nic tu nie wskazywało dawniejszego przeznaczenia zamku, tylko ze ścian, kędy tynk odpadł, przeglądały dawne malowania, lub gdzieś tam powiewały w opuszczonych izbach szczątki obić.

W jednej tylko komnacie zachował się przesłiczny zabytek po obrońcy chrześcijaństwa. Jestto komin, na dwa blisko sążnie szeroki, a na cztery do 5 stóp wysoki, cały wyłożony czarnym, dębickim marmurem. Oprawa wyrzeźbiona w liście, winne grona i kwiaty; wewnątrz zaś na blasze grubiej żelaznej, zamkniętej otwór wiodący dym do komina, pozostał herb Janina, z boleścią patrzący na tylolećnie sprofanowanie tych królewskich komnat. Tarcza ta jedynie przemawia do zwiżdżającego pielgrzyma, ona mu rozpowiada o czasach, kiedy Jan III zadumany godzinami siadywał przed tym kominem, buchającym ży-

herb korony. Wstąpiliśmy przez drzwi kamienne, na których rok 1687, na pamiątkę odnowienia i przebudowania kościoła przez Jana III wyryto.

Wchodzącego do fary żółkiewskiej uderzają najprzód cztery obrazy olejne wielkich rozmiarów, przedstawiające bitwy stoczone pod Wiedniem, Parkanami, Chocimem i Kluszyńcem. Ostatni jest ze wszystkich najstarszy; przedstawia oba wojska podzielone na niewielkie oddziały, naprzeciw siebie ustawione. Rozwinięte sztandary i narodowe stroje, na pierwszy rzut oka pozwalają rozróżnić przyjaciół od nieprzyjaciół. Na pierwszym planie widno kłęczący oddział piechoty nieprzyjacielskiej, gotowej do wystrzału, na który jazda polska naciera; z lewej strony obóz ostrokołem zabezpieczony, oraz tabór z wozów; w taborze mieszczą się przepyszne namioty wodzów polskich.

Obraz ten umieszczony jest na prawej ścianie przy wielkim ołtarzu. Tuż obok niego zawieszony jest dru-

gi, przedstawiający zwycięstwo chocimskie w r. 1673 odniesione. Na pierwszym planie, po lewej stronie obrazu, widać Jana III okrytego zbroją i tygrysią skórą, na karmy rumaku. Płaszcz purpurowy króla wiatr rozwiewa. W prawej ręce hetmańska buława; hełm nie pokrywa głowy. Na drugim planie po lewej stronie turecki obóz, okopami i rzeką zasłonięty, tudzież las, do którego po części uciekają Turcy, po części rzucają się w rzekę. Jeszcze dalej miasto Chocim, u dołu data i okoliczności zwycięstwa. Obraz ten, jak widać z napisu, malował Kaestler.

Trzeci obraz, zwycięstwo pod Wiedniem, przedstawia chwilę, gdy Turcy poczynają pierzchać. Na przodzie Jan III, w naturalnej wielkości, wiedzie swe lotne hufce z góry Kalenbergu, w hełmie i pancerzu, na koniu bułanym, tratującym wijącego się bisurmana; po lewej króla, na siwym koniu, królewicz Jakub; poza Sobieskim hussarz trzymający proporzec, ozdobiony piórami i skrzydłami, który to znak cechuje obecność króla. Król buławą chorągwiom husarskim wysuniętym naprzód daje znak do natarcia. Turcy zajmują lewą stronę obrazu; uchodząc w popłochu, kilku janczarów uprowadza śpiesznie jedną z odalisk wezyra, przepyszną ubraną, siedzącą na wielbłądzie. W głębi widno Wiedeń okryty dymem i płomieniami, z pośród których wynurza się wieża św. Szczepana. Nad królem unosi się anioł, trzymający palmę zwycięstwa w jednej, a w drugiej ręce napis. Obraz ten malował Altamonte.

Czwarte na koniec płótno przedstawia bitwę pod Parkanami. Tu Sobieski w naturalnej wielkości jaśnieje na przodzie obrazu, na czele swych zastępów. Głowa okryta hełmem srebrnym z orłem, przez ramię bieży błękitna wstęga. Obok króla znajduje się także, jak na poprzednim obrazie, królewicz Jakub i jak tam wznosi się w powietrzu orzeł. Po prawej stronie polscy puszarce nabijają olbrzymie działa; w oddaleniu widać Dunaj szeroko rozlany; na rzece mnóstwo czółen, oraz most załamany i zatapiający się w wodzie, wraz z uciekającymi bisurmanami. Za Dunajem widać zamek obronny na wyniosłej skale, a pod nim miasto—to Ostryhom (Gran). Po tej stronie Parkany. Tu, podobnie jak na odsiecz wiedeńskiej, jest anioł z palmą, trzymający napis po łacinie: „*viola tuus duch i pogrążeni są jako otów w gwałtowności wód.*” Obraz ten jest pędzla tego samego artysty co i poprzedni. (4)

(1) Malowidła te, zniszczone przez czas, stany galicyjskie w r. 1825 rozkazały swym nakładem Józefowi Engerthowi



TYPY UKRAIŃSKIE: WIEŻNIAK z okolic Czechryna.
(Rysował z natury Przyszychowski.)

malarzowi nadwornemu księcia Anhalt Koethen odnowić. Engerth tak pięknie wywiązał się z tej pracy, grubo opłaconej, że przed dwoma laty postanowiono nową restauracją zarządzać. Oby tylko wybór był szczęśliwszy i oby znów nie powierzono tej pracy jakiemu cudzoziemskiemu partaczowi.

Oprócz tych dwóch ostatnich płócien, w kaplicy św. Anny, kędy są zawieszane, znajduje się w ołtarzu obraz Bogarodzicy, pędzla Karola Dolce, a nadto dwa portrety Stanisława i Marka Sobieskich.

Jest tu także kilka nagrobków, a najpierw ku wielkiemu ołtarzowi z prawej strony z czarnego marmuru nagrobek Stanisława Daniłowicza, herbu Sas, wojewody ruskiego, zmarłego w r. 1636 w wieku lat 27. Naprzeciw niego grób Jakuba, kaszt. krak., zmarłego w r. 1646, ojca króla Jana. Oba te grobowce zdobią portrety spoczywających pod niemi.

Ale najpiękniejszą ozdobę świątyni stanowią dwa pomniki, w czerwonym wykute marmurze. Z tych jeden Stanisława Żółkiewskiego i syna jego Jana het. p. k., drugi matki i żony Stanisława popioły obejmuje. Pomniki te jednostajne, mają wysokości 24, szerokości 20 stóp. W pierwszym, po prawej stronie ołtarza umieszczonym, znajdują się w niszy posągi ojca i syna w rycerskiej zbroi; u stóp ich leżą hełmy. Ponad Stanisławem, patron jego wskrzeszający Piotrowinę z grobu; ponad synem św. Jan ewangelista. Odpowiednio tym stoją czerwone marmurowe posągi dwóch matron, w stroju zakonnym, jak niewiasty polskie podczas wypraw wojennych mężów i w stanie wdowim nosiły. Oba grobowce ozdobione kolumnami korynckimi porządku, odpowiednimi głownicami i frontonem.

W środku kościoła po prawej stronie znajduje się owalny portret Jana III, pod którym kilku niewolników skutych w kajdany zamieszczono. Jest tu także obraz Bogarodzicy, a pod nim klęczącego Rakoczego i jego żony portret. Naprzeciw popiersia Jana III, znajduje się portret Augusta II, w stroju francuzkim, w postawie siedzącej. Przy drzwiach płótno przedstawiające królewicza Jakuba, modlącego się do aniołów w obłokach.

Z zabytków dawnych zwycięstw w zakrystyi żółkiewskiego kościoła oglądałem nieźle jeszcze zachowaną kape, zrobioną z chorągwi zdobytej na Turkach pod Wiedniem; na materji fioletowej, mieniającej się i grubiej, wyhaftowany jest Turek, tłoczący chrześcianina leżącego na ziemi, któremu zagraża handzarem. Dalej mszał z herbem Żółkiewskich i puszka na kielich, misternie wyrzeźbiona z kości słoniowej, ofiarowane kościołowi przez hetmana.

Oto skarby tutejszej świątyni.

Oprócz kościoła farnego, jest tu kościół dominikanów, wystawiony przez Teofilę Sobieską, dla oku-



ŻÓŁKIEW. (Rysował z litografii Cegliński.)

pienia spokoju duszy poległego syna jej Marka i monastyr bazylianów.

Wyszliśmy z kościoła i zwróciliśmy kroki poza tylną ścianę zamku, która niegdyś złączona była z murem otaczającym miasto. Tu dawniej rozciągał się obszerny staw, broniący doń przystępu, oraz zwierzchnic króla Jana. Śladu dziś z nich nie pozostało; utrzymuje się tylko wielka aleja z modrzewiów, wiedząca na wzgórze *Haraj*, kędy stał letni tego króla pałacyk. Nazwa *Haraju* ztąd pochodzi, że Jan III, wyszedłszy raz na owo wzgórze i wpatrzywszy się w uroczy u stóp jego rozścielony krajobraz, zawołał w zachwyceniu: *Ha, raj!* i od tej chwili aż podziś dzień góra zachowała to imię. Naprawdę stęsknionym okiem szukałem śladów pałacyku: niema ich wcale.

Miasto Żółkiew leżące nad rzeką Świnia, nie jest tak starożytnem jakby mniemać można i nie Żółkiewscy od niego, ale ono od Żółkiewskich nazwę swoją wywodzi. Stała tu niegdyś wieś Winniki, którą wraz z innymi przyległymi wsiami Andrzej Wysocki podarował w 1566 r. Stanisławowi Żółkiewskiemu wojewodzie bełzkiemu.

Coroczne prawie najazdy dziczy tatarskiej pustoszyły Ruś bez wytchnienia. Kiedy w jednym z tych napadów włości Żółkiewskich niezmiernie ucierpiał, hetman umyślił zbudować obronny zamek, w którymby na przypadek napadu, rodzina jego z włościanami bezpieczne znalazła schronienie. Winniki, położone nad ogromnym stawem, najlepiej się ku temu celowi nadawały. Poczęto więc z rozkazu hetmana w r. 1594 budować zamek i kościół, a w r. 1595 hetman z obozu przysłał list do swej żony Reginy z Herburtów, aby miejscu temu nadała miano: *Żółkiew*.

Pod opiekę zamku wnet zaczęły się zbiegać osady ludzkie; równocześnie z nim wznosił się kościół i wkrótce powstało miasteczko. Hetman nadał mu prawo magdeburskie, wolny wybór wójta i radnych. Zygmunt III d. 22 lutego 1603 r. potwierdził te nadania i pozwolił mieszczanom używać swobód tych samych co Zamość i Carogród. Mieli więc prawo miecza, a wyroki tylko ostatniemu zatwierdzeniu dziełców ulegały. Mieszczanie Żółkwi, jadący po towar, lub wracający z nim, uwolnieni byli od wszelkich opłat w Koronie i Litwie. Miasto pod dobrą opieką Żółkiewskich szybko rosło.

Po śmierci hetmana Żółkiew przeszła w ręce Daniłowiczów, gdyż Jan Daniłowicz, herbu Sas z Żurowa, ożenił się z Zofią Żółkiewską, córką hetmana, i rządy Żółkwi przy niej pozostawił. Lecz i przy Daniłowiczach ostało się niedługo miasto. Teofila Daniłowiczówna, wyszedłszy za Jakuba Sobieskiego, wniosła te dobra w dom dawnych panów na Złoczowie. Tu Jana Sobieskiego, podówczas chorążego koronnego, dwakroć nawidział Jan Kazimierz; tu później Sobieski, zostawszy królem polskim, przyjmował margrabiego de Bethune, przywołującego mu od Ludwika XIV order św. Ducha, i lorda Hyde, posła Karola II Stuarta, winszującego mu zwycięstwa nad Turkami; tu otrzymał w r. 1684 poświęcony miecz i kapelusz od Innocentego XI, za pośrednictwem nuncjusza Pallaviciniego; tu dla wypraw mullańskich często przebywał. Po śmierci ojca, w podziale dóbr, królewicz Konstanty otrzymał Żółkiew; po nim obiał je Jakub, po zejściu zaś tegoż córka jego Marya Karolina ks. Bouillon, zmarła 1740. Wtedy Jan Tarło woj. sand., roszcząc do Sobieskich pretensje, zajął Żółkiew; ale po kilkoletnim procesie przysądzone ją Michałowi ks. Radziwiłłowi.

W dniu 24 czerwca 1772 roku wojska austriackie zajęły Żółkiew, i odtąd miasto to przeszło na własność rządu. W r. 1787 sprzedawano ją częściowo. Zamek z przyległościami kupił Adam Józefowicz, komisarz radziwiłłowski, i odtąd datuje się tego gmachu ruina. W roku 1833 pożar ją mocno zniszczył, w ubiegłym zaś roku chowano tam uroczyste szczątki królewiczów, o czém dzienniki nasze tak obszernie wówczas się rozpięły, że powtarzanie tutaj szczegółów byłoby zbyt długim.

Żółkiew niejednokrotnie ulegała klęskom. W roku 1648 wytrzymała oblężenie kozackie, lecz wykupiła się w końcu, nie spodziewając odsieczy. W roku 1688 wytrzymała napad Tatarów. Morowe też powietrze nieraz ją nawidzało, szerząc spustoszenie. Najbardziej jednak podupadła, wyszedłszy z rąk Sobieskich. Dziś jest to miasteczko obwodowe, mające 314 domów i ludności 4400. Z tych 1054 wyznania rzymsko-katolickiego, 670 grecko-katolickiego, 46 ewangelików, 2660 izraelitów. Obszar gruntów do miasta należących wynosi 1200 morgów. Majątek gminy ma wartość 65000 zł. reńskich, dochód roczny z czynszów, propinacji i t. p. wynosi 12300, dług zaś 1345 złr. Oto są dane statystyczne, jakie o stanie Żółkwi w r. 1862 zebrać się dało.

Słońce chyliło się ku zachodowi i tonęło w blaskach purpury na widokregu Gliniska, kiedy opuszczałem Żółkiew. Jechałem tu z weselem, przepelniony chęcią powitania spuścizny olbrzymów; zastałem ją rozdartą, zbezczeszczoną. To słońce zachodzące, to słońce Sobieskich, a ten gród pogrążający się w cieniach nocy, to obraz żywy ich upadku.

Większą część drogi milczeliśmy ponuro, niekiedy tylko ciszę przerwało słowo skargi. Wyjeżdżałem ze Lwowa z bijącym sercem młodziana; wracałem doń z sercem ściśnionem boleścią, z sercem człowieka dojrzałego, który cały żywot przebolewał.

BAZAR W POZNANIU.

Czytaliśmy w tomie II str. 581 Tygodnika *Illustrowanego* żywot dr. Karola Marcinkowskiego, który w czasie ruchliwego i przedsiębiorczego żywota swego, licznych i ważnych pomysłów był twórcą i najgłówniejszym wykonawcą. Wykształcony naukowo jako lekarz, miał sposobność nabrać doświadczenia w kraju i przez lat kilka zagranicą; uważając zaś zawód swój nie za rzemiosło do pozyskania codziennego chleba posłużyć mające, starał się o to tylko, aby w nim być pożytecznym ludzkości. Doszedł więc do znakomitej wziętości jako lekarz, a zarazem posiadał wielkie znaczenie jako człowiek i obywatel. Ścisły wykonawca swych pomysłów, które wszystkie miały za podstawę ważne dla społeczeństwa cele, mniej gorliwie chwycił pomysły innych osób, lub ich wcale nie przyjmował; dlatego też w swych drogach nieraz z innymi się rozmiął. Zdaje się, że głównym celem jego było powołać do życia i wynieść stan trzeci. Wreszcie uważał oświatę i pracę jako jedyne środki, aby naród utrzymać przy życiu i zapewnić mu przyszłość.

Idąc raz obraną drogą, Marcinkowski wprowadził najprzód w życie Towarzystwo naukowej pomocy, które dotąd w w. ks. poznańskim istnieje i z własnych funduszy oraz zebranych składek, udziela corocznie około 60000 złp. wsparcia uczącej się młodzieży z tutejszej prowincji pochodzącej. On też dał pomysł do wzniesienia w Poznaniu Bazaru. Jest to gmach okazały, wzniesiony na ulicy nowo podówczas założonej, a dziś najludniejszej w Poznaniu, prowadzącej ze starego rynku na nowe miasto, czyli ulicę Wilhelmską, dawniej zwaną Topolową, a przez pewien czas także Napoleońską. Gmach więc bazarowy stoi teraz jako budynek narożny, główną swą częścią przy ulicy Nowej, jednym zaś skrzydłem czyli częścią mniejszą przy ulicy Wilhelmskiej.

Dla wzniesienia tego gmachu, za staraniem Marcinkowskiego, zawiązała się spółka w dniu 26 czerwca 1838 r., do której zapisało się 68 członków z 82 akcjami po złp. 3000, co uczyniło złp. 240000. Wszystkie wówczas urzędowe czynności, jak np. nabycie domów i posiadłości gruntowych, na których Bazar miał być wzniesiony, działały się na imię Karola Marcinkowskiego, jako osoby spółkę przedstawiającej tak przed władzami, jak i sądownictwem; w roku też następnym obrany został dyrektorem tej spółki. Mając więc odpowiednie fundusze i grunt do wzniesienia budowy, zamierzyła spółka bliżej oznaczyć cele swego stowarzyszenia, co uskuteczniło w projekcie do aktu urzędowego z d. 4 stycznia 1842 r. Powiedziano tam zaraz na wstępie: iż zawiązało się towarzystwo do wystawienia Bazaru i sali w Poznaniu, celem podniesienia przemysłu, oraz wpływania na postęp rolnictwa i ułatwienia zebrania się licznej publiczności w zamiarach dobroczynnych. Dalej wyrażono, iż Bazar ów i sala wystawione być mają w Poznaniu przy ulicy Nowej, dla wygody zaś zamieszko- wych mieszkańców, połączone zostanie z Bazarem oberża, kosztem towarzystwa urządzona. Towarzystwo zawiązało się na lat dwadzieścia, to jest do walnego zebrania w r. 1862, a jeżeli wówczas większość obecnych członków oświadczy się za rozwiązaniem onego, wtedy Bazar z wszelkimi ruchomościami doń należącymi miał być sprzedany przez publiczną licytację, a pieniądze ztąd zebrane podzielić zamierzono między członków towarzystwa, w miarę ich składek. Po dwóch latach istnienia towarzystwa, dla obszerniejszego rozwinięcia celów zamierzonych, to jest dla wyposażenia dobrych ekonomów, włodarzy i owczarzy, zgola dla tęp skutecznego wpływu na rolnictwo w ogóle i polepszenia gospodarstw włościańskich przez wystawę poprawnych narzędzi rolniczych, pouczenie i t. p., założy towarzystwo z pożyczki zaciągnięj na Bazar szkołę nor-

malną agronomiczną, w dobrach na ten cel zakupić się mających, której wewnętrzne urządzenie zależeć miało od walnego zgromadzenia.

Projekt ten do kontraktu pomiędzy stowarzyszonymi, składający się z 34 paragrafów, przyjęty został w dniu 30 czerwca 1842 r., większością 44 przeciw 5 głosom, z wyjątkiem tylko paragrafu opisującego bliżej cele agronomiczne towarzystwa. W tej mierze żądano zmiany, albo raczej uzupełnienia, iż zebranie przyjmując cały paragraf, zastrzega jednakże sobie, że dopiero po upływie dwóch lat zajmie się przeprowadzeniem tego projektu do skutku; czterech zaś członków oświadczyło piśmiennie, iż paragraf rzeczony obowiązywać ich wcale nie może.

Gdy więc paragraf określający stronę najważniejszą i najpożyteczniejszą całego stowarzyszenia znalazł taką opozycję i gdy komisja wybrana do wpisanania projektu do kontraktu, po licznych naradach z prawnikami, przekonała się, że akt z tyłu paragrafów złożony jest za obszerny, że w nim wiele paragrafów niedość jasno i dokładnie było wyrażonych, — przeto postanowiono ułożyć nowy projekt i do tego wyznaczono nową komisję. Ta więc, mając zarazem na uwadze usunięcie wszystkiego, co by dać mogło rządowi jakieś powody do podejrzenia, a przez to utrudnić potwierdzenie spółki, ułożyła nowy projekt, który na walnym zebraniu d. 30 czerwca 1843 r. przyjęto, a nieruchomości bazarową na imię członków stowarzyszonych przepisano. W tym nowym kontrakcie powiedziano: iż w celu dogodzenia publiczności przez założenie domu zajezdnego w Poznaniu i przyłożenia się z dochodów tegoż domu do podniesienia przemysłu, rękodzieł, rolnictwa i handlu, zawiązała się spółka od świętego Jana 1838 do tegoż dnia 1862 r., to jest na lat 24. Przed upływem tego czasu nie wolno pojedynczemu członkowi ze spółki wystąpić, ani ogółowi nie służy prawo jej rozwiązania. Z dochodów wpływających przeznaczono szóstą część na fundusz żelazny i nieprzewidziane wydatki, trzecią zaś część na urzeczywistnienie celu podzwignienia przemysłu, rękodzieł, rolnictwa i handlu; reszta dopiero przechodzić miała jako dywidenda na korzyść członków. Równocześnie też wybrano członków dyrekcyi Bazaru w liczbie dziesięciu i osobno jeszcze komitet, mający się trudnić przywiedzeniem do skutku szkoły agronomicznej i rozszerzeniem przemysłu. Komitet ten obowiązany był działać w porozumieniu i wspólnie z powyższą dyrekcją bazarową; ponieważ zaś rozciągłość celów na początku kontraktu wymienionych wymagała wielkich funduszy, a dochód na te cele przekazany, nie mógł być odpowiedni potrzebie, przeto natychmiast 86 członków złożyło deklarację, w której ku przedszemu i jaknajrychlejszemu osiągnięciu zamierzonych celów, ofiarowali odstąpić całą swą dywidendę, i to na tak długo, dopóki który z nich nie uzna za potrzebne cofnąć swą ofiarę. W zamierzonym więc przedsięwzięciu widzieliśmy nie jako cel podwójny. A najprzód hotel czyli dom zajezdny, służyć mający ku wygodzie zamieszkujących obywateli polskich do Poznania przybywających, chociaż gość każdej narodowości tutaj znaleźć może równą uprzejmość; dalej służyć miał ten dom na miejsce zetknięcia się i wspólnej zabawy. Że zaś powstał głównie z funduszy ziemian — rolników, przeto służyć ma swemi dochodami na cele wyższe w zawodzie rolnictwa i handlu. Uznano też natychmiast te cele, i jeżeli, jak widzieliśmy wyżej, akcyje początkowo zawiązującej się spółki wynosiły zł. 240,000, takowe później podniosły się do summy zł. 529,500. Za ten kapitał i inne wpływające dochody, wystawiono gmach bazarowy, do tegoż przytykającą wielką salę i urządzono skrzydło bazarowe na ulicy Wilhelmskiej, na co wydano około zł. 467,000.

Gmach ten obejmuje dziś hotel, po większej części przez samych tylko Polaków zwiedzany, doł zaś cały urządzony jest na sklepy kupieckie, wyłącznie także przez Polaków zajęte. Na wielkiej sali odbywają się wszelkie narady stowarzyszeń polskich, jak np. walne zebrania towarzystw agronomicznego, naukowej pomocy i t. p. Podobne obywatelskie zgromadzenia mają wprawdzie pierwszeństwo, gdy jednakże cały hotel jest wydzierżawiony, przeto sala ta wynajmowana bywa i na przedstawienia sceniczne, koncerty, bale miejskie, kupieckie i inne. Dochód z Bazaru przynosi obecnie około 70%, z tego połowa oddaje się członkom spółki jako dywidenda dochodu, druga zaś połowę przeznaczają na powyższe cele rolnictwa i przemysłu i na nieprzewidziane wydatki.

Na św. Jan 1862 r. upłynęły wreszcie owe dwadzieścia cztery lat, przy zawiązaniu spółki bazarowej oznaczone; spółka jednakże i nadal utrzymała się, tylko inne formy i przepisy mają być ustanowione, co obecnie jest przedmiotem roztrząsań.

JAREMA,

studjum

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICYI,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

V.

Po latach dwudziestu.

Wiele, bardzo wiele lat upłynęło od tego czasu. Po krajach przeciągnęło kilka burz strasznych, krwawych, a każda z nich pozostawiła ślady po sobie. Najboleśniejsze ślady wycisnął rok 1846. Sieroty kilkuset rodzin rozsypały się po świecie, jak czarne węgle spalonego gmachu, i świadczyły przed Bogiem i ludźmi!

W Nowejwsi napozór nic się nie zmieniło. Ta sama górką wśród równiny, te same drzewa zielone, wysokie, ta sama rzeka błękitna. I alea prowadząca do białego dworku wyglądała tak samo, jak przed laty dwudziestu, i pastuchy tak samo bawili się na pochyłości góry. A przecież nie było to już tak jak dawniej!

Biały dworek jakoś podupadł, ściany poodpadały od słoty. Wszędzie widać było upadek i jakieś zaniedbanie, jakby gospodarza już w domu nie było.

O, gospodarz już dawno leżał na cmentarzu pod cerkiewką. Cicho i spokojnie było na tym wiejskim cmentarzyku, cicho też i spokojnie musiało być w grobie nieboszczykowi. Cztery drzewka rosły na tym grobie, a wśród drzewek stał biały krzyż z kamienia, na którym wyrzyto prośbę o Pozdrowienie anielskie...

I w dworku białym było cicho i spokojnie. Nie słyszałeś w nim ani śmiechu, ani wesołej zabawy, a nawet służby nie ujrzałeś. Ogródek tylko mały pod oknami, starannie kwiatami zasadzony, okazywał że w dworku tym mieszka jakaś istota, która nie przestała jeszcze lubić kwiatów, mimo doznanych goryczy życia, albo która dopiero zaczyna kochać świat i życie, a zaczyna od kwiatów...

Z ganku wyszła matrona w stroju żałobnym. Na twarzy jej były już zmarszczki, chociaż wyraz oczu żywych okazywał jeszcze wiek dosyć młody.

Była to owa Zosia, którą widzieliśmy w pierwszym rozdziale tego obrazku. Za nią postępowała młodzieńka, zaledwie piętnaście lat mająca dziewczynka, precudnej urody. Twarz jej była świeża i uśmiechnięta, oczy jasne, szczere. Miała na sobie suknię z białego perkaliku i stanik z czarnych pasków utkany.

Obie weszły do małej altanki i z robotką w ręku usiadły przy prostym stole.

— Mameczka dzisiaj taka smutna! ozwała się młoda dziewczynka, a łzy zakręciły się w jej oczach.

— Bo dzisiaj, moje dziecko, jest dla mnie dzień pamiętny, odpowiedziała matka, dzisiaj poznałam po raz pierwszy nieboszczyka twego ojca.

Długi czas trwało milczenie. Matka pograżyła się w smutku i patrzyła przed siebie jakimś wzrokiem oślepiającym. U córki zwyciężyła młodość. Poświęciwszy chwilę boleści, pomyślała zaraz kiedy to ona kogoś pozna i obaczy po raz pierwszy, który jej nazawsze zostanie! I każdy pojmie, co po tej myśli zaczęło się roić w tej ładnej, młodej główce. Ale matka przerwała te marzenia:

— Dzisiaj właśnie po raz pierwszy ujrzałam nieboszczyka, mówiła jakby do myśli swoich. Któżby był przewidział, że szczęście moje, które mi wtedy całą duszę upoiło, będzie tak krótkim i tak boleśnie się zakończy?...!

Po chwili milczenia mówiła dalej:

— Za rok pobraliśmy się i wyjechaliśmy w Tarnowskie. Jeszcze nie ocknęłam się z mego szczęścia, gdy krwawe, straszne widmo stanęło przedemną i nazawsze świat mi zakryło!... O, ja dzisiaj nie widzę, nic, prócz tej nocy strasznej, okropnej, gdy dom nasz palił się nad moją głową, a u mych nóg leżał twój ojciec... bez duszy!...

— Mamo! krzyknęła córka i objęła matkę rękoma, wiedząc ile cierpi przy tych wspomnieniach.

Ale matka była dzisiaj męczniejsza. Jakaś myśl błoga podtrzymywała wale jej siły.

— Jakbym dziś na to wszystko patrzyła! mówiła dalej. Wkoło palącego się dworu stały tłumy ludu i wołały głosami jakich nigdy nie zapomnę!... To nie były głosy ludzkie, to były głosy hyeny, głosy tygrysiel!... Ale cyt, dodała, wychylając się z altanki, tam widzę idzie już kochany nasz proboszcz. Cieszę się że w tym dniu coś dobrego uczynię dla ludu. Właśnie będziemy z proboszczem radzić o szkółce wiejskiej.

— O szkółce wiejskiej? zawołała córka z zadziwieniem.

— Cóż cię tak zadziwia, Jadwisiu? zapytała matka.

— A już cię zadziwia mnie, mameczko, odparła Jadwiga, że mamusia tyle robi dla tych ludzi tak okrutnych.

Rzekłszy to, zakryła twarz rękami i zaczęła płakać.

Wspomnienie ojca, który zginął w rzezi tarnowskiej, rozraniło srogo jej młode serce i przypomniało jej śród marzeń złotych, że jest sierotą...

Matka z boleścią patrzyła na córkę, a potem rzekła:

— Otóż ksiądz proboszcz już w furtce ogródka. Niech on, jako kapłan, odpowie ci na to. W jego ustach nabędzie to dla ciebie innego znaczenia. Gdybym ja ci to powiedziała, byłyby to słowa słabej kobiety, która zwykła wszystko zle zapominać.

Gdy ksiądz proboszcz zbliżył się do altanki, rzekła matka po serdecznym przywitaniu gościa:

— Mam wielki żal do jegomości, bo jakoś nienajlepiej uczysz Jadwisie miłości chrześcijańskiej.

Staruszek zażył tabaczki i uśmiechnął się. Był on przygotowany na jakiś żarcik, który mu często płała panna Jadwiga.

Więc patrząc na lube dziecko z ukosa, rzekł znacząco:

— Pan Władysław lepszym będzie nauczycielem o demnie. Serce kobiety pory nie pojmie miłości chrześcijańskiej, póki wprzód z domowymi swymi sprawami nie upora się.

— Pan Władysław? zawołała matka i spojrzała na córkę.

Jadwiga poczerwieniała aż po biały rąbek sukienki. Jej oczy rozjaśniały się coraz więcej, aż wreszcie u jedwabnych rzes zawisła świecąca perła.

— Cóż to jest, Jadwisiu? zapytała z chmurką na czole matka.

— Ja o niczym, mameczko, nie wiem, odparła Jadwiga, a jasne dwie łzy stoczyły się po jej ślicznej twarzy.

Proboszcz puknął niby z gniewem w tabakierkę i rzekł:

— Tom źle zrobił, żem czas i wypadki wyprzedził, chociaż mówią że ludziom genialnym często to się wydarza.

Żartobliwy zwrot mowy księdza proboszcza uspokoił matkę, a nawet i Jadwisia uśmiechnęła się przez łzy, które jeszcze ciągle jedna po drugiej z jej ślicznych oczu umykały.

Musiła uwierzyć matka w szczerość Jadwigi. Rumieniec i łzy, były to tylko oznaki, że ksiądz proboszcz napomknieniem o Władysławie, zeszedł ją niespodzianie. O żadnym Władysławie nie myślała ona wcale, a to z tej prostej przyczyny, że żadnego nie знаła; ale myślała właśnie o kimś, który jeszcze nie miał imienia, a który, jak ongi jej ojciec nieboszczyk, ujrzy ją gdzieś, najprawdopodobniej w kościełku, po raz pierwszy, który ją, a ona jego, pokocha i pójdzie z nim na kobierzec ślubny... Tak to marzyło sobie piętnastoletnie dziecko, gdy nagle proboszcz wyjechał z jakimś panem Władysławem, jakby to już była rzecz skończona. I jakże tu nie spieć raczka aż po rąbek sukienki, jakże powstrzymać łez kilka, tak przyjemnych, tak jakoś słodkich?

Płakała więc Jadwiga szczerze i serdecznie, bo z tym płaczem było jej jakoś tak dobrze, tak przyjemnie! Łez tych nie mieniałyby dzisiaj za wszystkie skarby świata. Matka myślała, że te łzy odnoszą się wyłącznie do dzisiejszej rocznicy, że bolesne uczucie sieroctwa wycisnęło je z głębi serca. To też nie pytała dalej jedynaczki, co znaczą łzy jej, i uwierzyła słowu, że Władysława żadnego nie zna. Całą więc historią o jakimś Władysławie, zaimeprozowaną przez księdza proboszcza, wzięła za żarcik, i właśnie miała księdzu proboszczowi udzielić kilka myśli swoich co do urządzenia szkółki wiejskiej, — gdy nagle, spojrzawszy na córkę, rzekła:

— Cóż to znowu, Jadwisiu, rozplakałaś się na pięknie? A co by to było, gdyby kto przyjechał....

— Co bardzo łatwo być może, dorzucił filuternie ksiądz proboszcz, zażywając tabaczki i spoglądając na zegarek.

— Tobo było wielkie nieszczęście! zawołała przestraszona Jadwiga, wyobrażając sobie, że już ktoś wchodzi do altany i widzi jej oczka czerwone i włoski na głowie w nienajlepszym porządku.

— Nieszczęście? powtórzył proboszcz, nieszczęście? co za nieszczęście?... A prawda, prawda, panna Jadwiga ma słusność, bo stoi napisano: I porzuci ojca i matkę....

— Ja mamy nigdy nie porzuć, rzekła Jadwiga, przytulając się do matki.

Ale wnet podniosła główkę jak sarna spłoszona i cała drżąc zaczęła słuchać. A tam od alei lipowej dochodził jakiś turkot głuchy, i coraz wyraźniej słychać było stąpanie koni i trzask bicia. Jadwiga zaczęła zwolna czerwienić na twarzy, jej serce rosło i rosło i już poza rąbek wychylić się chciało, gdy nagle służąca wpadła do ogrodu, z oznajmieniem, że jacyś goście do dworu jadą.

Jadwiga zerwała się z ławki i znikła jak biała chmurka wiosenna; matka zaś wpatrzyła się w proboszcza, który się uśmiechał, jakby krył w sobie jakąś tajemnicę. Nie było jednak czasu do pytań, bo właśnie wszedł do ogrodu jakiś siwy, wysoki jegomość, z sztywnym pod szyję halsztukiem. Za jego szerokimi plecami ukrywał się młody blondynek w czarnej czamarcie.

— Al pan pułkownik! co za rzadki gość! ozwała się gospodyni, wychodząc przeciw gościom z altanki. To się doprawdy nie godzi pułkownikowi. Tak blizkim być sąsiadem, a tak rzadko bywać w Nowejwsi....

— Pozwolisz pani dobrodziejka, odparł pułkownik, poprawiając halsztuka, że się primo jasno wytłumaczę. Jestem człowiekiem starej daty, kiedy to jeszcze przedewszystkiem lubiano wino, karty i kobiety. Dzisiaj zaś jesteśmy goli jak święci tureccy, a więc wino niema za co pić, do kart nie znajdzie w Nowejwsi z kim zasiąść, a co do kobiet, — pani dobrodziejko to właśnie dla mnie rzecz najniebezpieczniejsza, chociaż, jak to mówią: u wdowy chleb gotowy....

— Ale niezdrowy, dodała gospodyni.

— Dlatego jako stary żołnierz, mówił dalej pułkownik, trzymam się dawnej taktyki. Nie przypuszczam szturmowi, jak to dzisiaj robią, wszystkimi naraz siłami, ale wysyłam najprzód lekką konnicę i gesty łancuch tyralierów, a sam zostaję w rezerwie.... Więc pozwoli pani dobrodziejka, że przedstawię jej mego kuzyna, pana Władysława....

Gospodyni spojrzała na pana Władysława, potem na pułkownika i proboszcza, bo cała scena zdawała się jej być naprzdłożona. Pułkownik wyprostował się w poczuciu swojej dowcipnie zaaplikowanej przemowy i podkręcał wąsy z zadowoleniem człowieka, któremu szczęście pełnymi policzkami uśmiechać się zdaje.

Pan Władysław, był to młody człowiek mający zaledwie dwadzieścia kilka lat wieku. Ubiór jego był skromny. Czarna czamarka zapięta do góry wydatniała piękny wzrost jego. Włos jasny leżał na głowie naturalnie, bez żadnych sztucznych kędziurów. Wejrzenie miał rozsądne, a cała twarz jego była ogorzała od słońca i wiatru. Przyjechał na bryczce pułkownika, i nie miał nawet galonowanego służącego z sobą; trudno więc było, według wyobrażeń dzisiejszych matek, uwierzyć, że pan Władysław przyjechał w konkury. Nie zarekomendował się ani ekwipażem kupionym za wybraną naprzdłożoną trzyletnią arenę z karczmą, ani angielskiej rassy kaszankami, na które zazwyczaj podpisuje się u Ieka przelolony weksel a conto posagu przyszłej żony. Nie miał szkiełka w oku, ani bakenbardów à l'anglaise rozczesanych. I jakże to mógł być konkurent? A co najważniejsza, pan Władysław usiadł skromnie na ławeczce z pułkownikiem, zamiast założyć z angielską nogę na nogę i gospodyni sprezentować podeszwy lakierowanych butów swoich. Nawet nie miewał się gwałtem do rozmowy, tylko czekał aż starsi się wygadają, bo starszym należy się pierwszeństwo. I gdzież to mógł być konkurent?...!

Matka wszakże Jadwigi mimo to odgadła intencje starego pułkownika; ale trochę smuciła się na myśl, która zazwyczaj matkom rozkosz sprawiać zwykła. Położenie jej było oplakane. Nagła zmiana stosunków włościańskich, jakoteż smutne i okropne katastrofy z r. 1846, zniszczyły do szczeru męzowski majątek i jej własny posag mocno nadwężyły. Jako kobieta, nie mogła sobie dać rady w gospodarstwie, a do tego, jakby na próbę jej cierpliwości, nawidziały ją kolejno to wylewy, to grad, deszcze i posuchy. Potrzeba więc było na serwo myśleć o ratunkowych kilku włók ziemi ojczystej, drogiej ziemi wspomnień i pamiętek. Zapobiegliwa kobieta ułożyła sobie plan uratowania majątku, do czego, prócz największej oszczędności, potrzeba jej było najmnij czterech lat, aby się z biędzy i z długów oczyścić. Postanowiła więc w tych latach żadnych nadzwyczajnych nie czynić wydatków, urządziła cały swój dom jak zegarek i cieszyła się tą błogą nadzieją, że kiedyś będzie mogła dać Jadwidze cały swój po rodzicach zachowany mająteczek.

Jadwiga zaś miała dopiero lat piętnaście, za cztery lata mógł już być mająteczek czystym, a Jadwiga miałaby wtedy lat dziewiętnaście, to jest tyle, ile według zdania matki potrzeba jej było, aby rozsądnie i dobrze wybrać sobie dożgonnego przyjaciela. Kogoż jednak zadziwi, jeżeli piętnastoletnie serdusko Jadwigi nie a nic o tym rachunku matki nie wiedziało?

Ta myśl więc, że stary pułkownik coś na swata zakrawa, zatrwożyła gospodynię, a serce jej ściśnięło się gwałtownie, gdy za altanką posłyszała szelest, znamionujący kroki Jadwigi.

— Odrzuć mu się podoba gdy ją zobaczy! szeptało jej serce matczyne. Poco ona właśnie teraz tu przychodzi?

Proboszcz patrzył z uwagą w twarz gospodyni, a potem zdawało się że pułkownikowi dał jakiś znak ręką. Potem ozwał się tenże:

— Nie lubię praktyk dzisiejszych, aby nieprzyjaciela trwożyć i udanymi manewrami ludzi. A więc wprost uderzam ostrzem na ostrze.

Szelest za altanką ustał nagle. Matce zdawało się że słyszysz oddech Jadwigi i przyspieszone bicie jej serca.

— Otóż wyjeżdżam wprost z interesem, w jakim przyjechaliśmy z panem Władysławem do Nowejwsi, ciągnął dalej gadatliwy pułkownik, i znowu miał ochotę zrobić pauzę, lecz powrotny znak księdza proboszcza zagnął go do pośpiechu.

Szelest za altanką ustał zupełnie. Musiał tam jednak ktoś być, bo matka często tam czy zwracała i pan Władysław ustawicznie spoglądał w tę stronę, z kąd szelest słychać było.

Pułkownik odchrząknął, a chcąc jaknajkrócej się sprawić, bo proboszcz widocznie niekontent był z jego manewru, zaczął wprost od rzeczy.

— Musi pani dobrodziejka najprzód wiedzieć, że pan Władysław, syn mego ciotecznego brata, jest sierotą, tak samo jak panna Jadwiga, z tą tylko dyferencją, że panna Jadwiga ma tak godną matkę, a Władzio jest jak palec sam jeden na bożym świecie. Ojca zamordował Szela, a matka umarła z przestachu i zgryzoty.

szęj pozycyi w świecie i konsyderacyi u ludzi. A że dotychczas niema właściwie nie swego.....

Proboszcz odchrząknął z widocznym niezadowoleniem, puknął dwoma palcami w tabakierkę i przerwał gadatliwemu pułkownikowi:

— Krótko mówiąc: rzecz idzie, pani dobrodziejko, o kupno tutejszych tak zwanych pustek.

Wdowa widocznie ochłoneła z trwogi. Więc to chodziło tylko o kupno pustek...

Dla nieznających stosunków galicyjskich, winniśmy wytłumaczyć co to są tak zwane pustki.

Pustki, są to grunta wiejskie, opuszczone przez włościan. We wsiach Galicyi jest mnóstwo takich pustek. Dawniej można je było zdala rozpoznać. Gdzieś na uboczu, za wsią pomiędzy parowem, zazwyczaj na złym gruncie, stoi mała, wałająca się chałupa. Strzechy poczerniała, odarta, okna bez szyb, piec rozwalony i chwast bujnie naokoło rozrosły, znamionują że mieszkańcy tego ustronia dawno, bardzo dawno ztąd ustąpili, bądź śmiercią, bądź dobrowolnym wygnaniem na chleb tułaczy.

Opuszczony tym sposobem grunt i chata stały najczęściej pusto, często zaś gruntu używał dziedzic na pastwisko, za co obowiązany był płacić podatek. Za czasów pańszczyznianych nikt nie kuśił się z pozostałych krewnych o taki grunt opuszczony. Do gruntu tego bowiem, jak do wszystkich innych włościańskich, przywiązana była pańszczyzna, a dawny jego właściciel opuszczał go najczęściej, z powodu iż pożytek z tych pól jałowych nie wyrównywał włożonym na nie ciężarom.

(Ob. dod.)

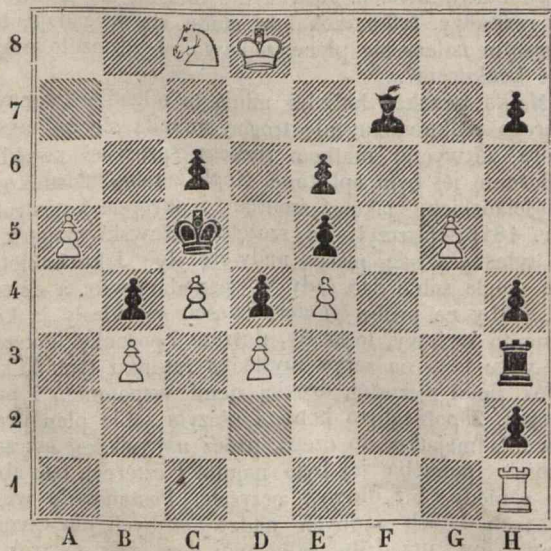
SZACHY.

ZADANIE CLV.

(A. Anderssen w Wrocławiu).

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 154.

Białe.

Czarne.

- | | |
|---------------------------|-------------------|
| 1) G 6—E 6 ♠ . . . | 1) E 7—E 6 białą. |
| 2) F 8—C 5 ♠ . . . | 2) D 7—C 5 białą. |
| 3) D 2—C 3 białą ♠ . | 3) B 4—C 3 białą. |
| 4) B 7—B 8 (laufer) ♠ . | 4) F 7—C 7. |
| 5) B 8—C 7 białą ♠ . | 5) E 6—D 6. |
| 6) C 7—D 6 białą ♠ i mat. | |

Pułkownik cierpiał na astmę; więc mimo najlepszych chęci, musiał tu spocząć choć dwie sekundy. Wspomnienie tak strasznej katastrofy, która i w komnatach Nowejwsi krawe zostawiła widma, odwróciło na chwilę uwagę gospodyni od mniemanego niebezpieczeństwa, jakie zdawało się zagrażać jej ułożonym naprzód rachunkom. Smutno spojrziała na młodzieńca, który w tej chwili rękę do oczu podniósł, bo tam poczuł ciepłą łzę... a nawet wydało się jej, że za altanką ktoś zciha gałęz odsunął, aby również popatrzeć....

Tymczasem pułkownik schwycił oddech i mówił dalej:

— Otóż Władysław chował się sierotą i widać że Bóg w niebie czuwał nad nim, bo wyrósł krzepko i zatrzymał zdrowe serce w zdrowym ciele.

Tu spojrzął z ukosa na niecierpliwie się coraz więcej proboszcza i tak mówił dalej:

— A kiedy już dzisiaj ma lat dwadzieścia cztery, toż należy myśleć o sobie i stanąć do szeregu ludzi pracujących dla dobra swego i dla dobra ojczyzny. Ażeby to jednak uczynić, trzeba mieć przecie grunt pod nogami. Wódz który się gotuje do boju, patrzy najprzód na ziemię gdzie bój staczać będzie. Nie lubię dzisiejszych ludzi, co to niby do wszystkiego byliby zdolni, gdyby tylko ktoś im dał pozycją po temu. Jednym się zdaje że mogą najmniej być ministrami, nie aplikując nigdy i nigdzie. Inni już z urodzenia zdolni są dowodzić pułkiem, a nie wiedzą co służba kaprańska. Ci znowu byliby najlepszymi gospodarzami, gdyby mogli tylko dostać żonkę z majątkiem. Ja zaś inaczej o tem wszystkiem sędzę, i dlatego to udaję się do pani dobrodziejki, bo wiem co za dom i co za ludzie.

Biędna wdowa była pewną, że teraz nastąpi uroczyste oświadczenie i już w głowie zbierała naprędce argumenta, aby pułkownika jakoś grzecznie odprawić, a przynajmniej te całą sprawę puścić w odwołkę. Do tego jeszcze przyszło jej na myśl, że za kilka dni przypada termin wypłaty weksla na dość znaczną sumę. I jakże to w takiej chwili myśleć o konkurencji?...

Nie bez obawy więc patrzyła na siwe wasy pułkownika, które się znowu ruszać poczęły. Pułkownik mówił dalej:

— Jestem zatem tego zdania, aby Władzio zaczął gospodarować na swoim i powoli dorobił się lep-

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 189.

Kto w domu łotr z natury, takiż będzie w Rzymie. (Dodatek.)

Pustki te jednak po zniesieniu pańszczyzny większą nabyły wartości, bo stanowiły własność. Z tego powodu powstało mnóstwo processów między właścicielami a dawnym panem, które obu stronom nie miało narobiły kłopotu. Że i z tego powstały zarody rozdwojenia własności z dworem, nikt nie zaprzeczy.

Pustki posiadane od czasów niepamiętnych, a więc prawnie należące do majątku dominialnego Nowejwsi, był to dosyć spory szmat ziemi, ale z glebą niezbyt urodzajną. Przy rozsądnej gospodarce, przy znacznych nakładach, można jednak było zaokrąglić sobie z tego ładny folwarczek. Ale na to nie miała biedna wdowa ani pieniędzy, ani konceptu, a długi pas ziemi okalający całą Nowagórę leżał odłogiem i zdziczał. Przyjemną więc dla niej była propozycja pułkownika, a że ta propozycja w drugim planie miała coś innego na względzie, to przeczuło już serce matki. Uśmiechnęła się więc i rzekła:

— Ksiądz proboszcz ma lepsze serce od pułkownika. Nie dręczył on długo biednej wdowy. Pułkownik niezawsze widać doraźnym atakiem zwalczał nieprzyjaciela.

— Fabius cunctator! szepnął zeicha proboszcz, zerkając na pułkownika.

Ten zaś musnął ręką po wąsach i rzekł zachmurzony:

— Jużcie każdy wódz ma swój plan, według którego szuki swoje ustawia. Ksiądz proboszcz, jako chorąży gorąco kapany, popsuł mi atak, uderzwszy wprost na kolumnę. Jakkolwiek to jest nadwężeniem subordynacji, jednak w chwili niebezpieczeństwa nie innego nie pozostaje, jak iść za chorążym i atak wesprzeć. Oświadczam więc wprost pani dobrodziejce, że wspomniane pustki już obejrzałem i na pięćset czerwonych złotych oszacowałem. Jeżeli ta sunka pani akomoduje, to mam ją z sobą i imieniem Władzia, jako jego opiekun, wypłace.

Biednej wdowie lzy stanęły w oczach. Był to dla niej ratunek wcale niespodziewany. Nigdy na podobną pomoc nie liczyła. Pustki i tak stały bez użytku i nikomu nawet na myśl nie przyszło, aby je w drodze kupna nabyć, albo w drodze prawa o nie się upomnieć. Podziękowała więc w duchu panu Bogu, a szukając na wszystko co ją kiedy w życiu spotkało powodów w samej sobie, pomyślała że to nagroda z nieba zesłana, za dziśniejsze jej postanowienie, aby dla dzieci większą szkołę założyć.

Z rozpromienioną twarzą powitała Jadwigę, która w tej chwili weszła do altany. Na twarzy jednak Jadwigi malowało się nieukontentowanie. Niezawodnie musiała słyszeć z za altany rozmowę, z której dowiedziała się, że to idzie tylko o prosty interes kupna pustek! Interes! a czémże jest podobny interes dla serca piętnastoletniego?... Mimo to znalazł się jakoś gdzieś raczek, jakby z pod rąbka wylazł, gdy pan Władysław jej się kłaniał i pułkownik z pewną uroczystością przedstawiał go. Może serce szepnęło jej wtedy, że z kupna tych pustek bodaj czy się co innego nie wykluje!...

Ponieważ się już ku wieczorowi skłaniało, a z za Nowejgóry jakieś podejrżane wymykały się chmurki, wstała gospodyni i wszystkich gości zaprosiła do pokoju.

Mówiono o tém o owém, a tymczasem matka z córką postarały się o herbatę i przekąskę. Na dworze było coraz chłodniej, wicher zrywał się i tłuł nielitościwie po wierchołkach drzew ogrodowych.

Przysunięto bliżej krzeselka, a rozmowa stawała się coraz głośniejszą.

Kiedy pułkownik, przystępując do interesu, znowu o pustkach mówić zaczął, a nawet w kieszeni dukatami brząkał, podniosła rękę gospodyni i rzekła głosem uroczystym:

— Na sprzedaż pustek jaknajchętniej przystaję; wymawiam tylko sobie, aby pułkownik wraz z panem Władysławem kilka dni dobrze tę rzecz rozważyli, czy grunta warte te pieniądze i czy zdadzą się na co. Nie taję się z tém bynajmniej, że sprzedaż tych pustek pod tak korzystnymi warunkami jest dla mnie w tej chwili dobrodziejstwem. Ponieważ jednak we wszystkiem upatruję zrządzenia Bożego, pytałam więc w duchu siebie, za jaki dobry uczynek, za jaką pocziwiał myśl Bóg mnie wynagradza? I oto przypomniałam sobie, że powzięłam dzisiaj myśl założenia szkoły dla ludu i właśnie z proboszczem chciałam się rozmówić o potrzebne do tego fundusze. Dlatego więc, dziękując Bogu za ratunek w potrzebie, przeznaczam zaraz z góry sto czerwonych złotych na założenie szkoły z samą sprzedażą pustek!... Dzisiaj rocznica dnia, w którym nieboszczyka męża swego po raz pierwszy ujrzałam...

Długi czas trwało milczenie. Wdowa i córka poczuły lzy w oczach. I p. Władysław odwrócił się od

stołu. Pułkownik wstał tymczasem i widocznie wzburzony, zaczął przechadzać się po pokoju.

Proboszcz patrzył smutno za biegającym coraz prędzej pułkownikiem, a gdy ten, z powodu swego astmatycznego usposobienia, na chwilę stanął, aby oddechu nabrać, ułapił go proboszcz za poję i rzekł:

— Pułkowniku, słuchaj! bo częściej przez kobietę mówi Bóg do ludzi, niżeli przez wodza w zbroi!... słuchaj, a potem będziesz biegł dowoli.

Pułkownik stanął i wpatrzył się w księdza, który podniósł rękę do góry i zawołał:

— Twój wzrok, pułkowniku, nie sięga dalej od twojej odwagi; ale instynkt kobiety może dojrzeć rzeczy, których zwykłe oko nie widzi!...

— Ja bo już stary na to wszystko, odfuknął zgromiony pułkownik i sapnął z gniewu, że proboszcz na polu dysputy zawsze górę nad nim bierze.

Proboszcz mówił jeszcze dalej w duchu miłości chrześcijańskiej, która nam każe równą miłością kochać małych jak i wielkich: gdy nagle czerwony blask błyskawicy przeleciał po niebie, a w oknie pokoju zaczęła jakaś straszna postać!

Wszyscy przybiegli do okna i wpatrzyli się w widmo złowieszcze.

Byłto jakiś człowiek w dziwnym, obdartym ubiorze. Stał naprzeciw okna i miał pięść do góry wzniesioną, jakby groził. Potem obrócił się zwolna i zniknął za figurą.

— Tak wyglądał Szela, gdy się zbliżał do naszego domu, jęknęła wdowa i zamknęła oczy.

— To przywidzenie i nic więcej, rzekł pułkownik.

— Mówiliśmy poprzednio o scenach z rzezi tarnowskiej, dorzucił proboszcz.

A na dworze zaważała burza, błyskawice i grzmoty powtarzały się co chwila.

VI.

W piekarni.

Podczas kiedy zgromadzeni w saloniku, nastrojeni burzą nocną i tém dziwném, nieodgadnioném zjawiskiem za oknami, przeszli do rozmowy o smutnych, krwawych wypadkach tarnowskich, w małej oficynie naprzeciw dworu zebrała się czeladka i po pracy dziennej obsiadła w koło ognisko, na którym pryskał ogień nałożony.

Po latach dwudziestu spostrzegamy i tutaj znajomych. Najprzód, koło samego komina, siedzi kobieta o ładnych rysach twarzy. Jasne jak len włosy otaczają grubym warkoczem jej białe czoło. Nie ma ona jeszcze lat czterdziestu, a jednak na jej bladej twarzy jest mnóstwo zmarszczek, świadczących o niebezpieczliwych kolejach losu. Koło niej, oparty o komin, siedzi chłopak kilkanaście lat mający, roslęj, wysmukłej postaci. Z włosów i oczu podobny jest do kobiety, jakby był jej synem. Dalej oparty o duży stół biały stoi drugi parobczak, podobniusiński do pierwszego, jakby obaj byli bliźniakami.

W zagłębieniu za piecem siedzą dwaj mocno pochyleni staruszkowie. Jeden z nich jest ślepy, a drugi głuchy. Kłócą się obaj o wygodniejsze miejsce za piecem i dokuczają sobie wzajem to słowem, to czynem.

Ślepy zwolna namacał zebra swego sąsiada, i niby od niechcenia uczył go kulakiem.

— Co to wy zawsze się pchacie i zawadzacie mi? rzekł ślepy do sąsiada, gotując się do drugiego kulaka.

— Czy was napadło, czy co? zawołał głuchy, nadsztawiając ślepemu łokieć.

— Poco tu do mnie przychodzicie, kiedy wiecie że ja nic nie widzę wieczorem, gderał dalej ślepy, wymierzając z całą siłą szturchańca w sam kant muru od komina.

— Czarta byście zjedli, Mateuszu! krzyknął głuchy, ocaliwszy się od wymierzonego ciosu.

— Mówicie Jacenty jak pies niedowiarek! odfuknął ślepy, macając koło siebie, a tam na dworze tak grzmi, aż strach!...

Głuchy nie dosłyszał słów swego sąsiada, ale usta jego szeptały już paciérz i litanią do Najświętszej Panny, bo właśnie przy wspomnieniu czarta tak jasna błyskawica przeleciała po niebie, że prócz ślepego, wszyscy za oczy się chwycili.

— Módl się za nami teraz i w godzinę śmierci!... szeptał głuchy.

— Co wy tam ciągle o tej śmierci gadacie? gderał ślepy. Alboż to ludzie nie żyją po sto dwadzieścia lat, czy co?...

Ponieważ głuchy swego sąsiada dobrze nie rozumiał, a ślepy nie widział ani jego twarzy, ani żeber nie mógł już namacać, bo głuchy znacznie od niego się odsunął: więc nastała przez kilka chwil cisza w piekarni, wśród której słychać było pluskanie deszczu i

grzmot tak głośny, jakby kto z bryką orzechów po próżnym strychu się przejeżdżał.

W obu za piecem siedzących, niezgodnych sąsiadach poznajemy kucharza i ogrodnika. Są to już zupełnie inwalidzi. Zgarbieni jak grzyby, kalący obaj, siedzą z łaski pani swojej w piekarni i dokuczają sobie dla skrócenia czasu.

Biedna wdowa, idąc za tradycją dawnego obyczaju, dała obu inwalidom dworskim dożywotni kącik w piekarni, wraz ze strawą, chociaż położenie jej wcale nie było potemu, aby wiele na uczynki miłosierne szafować mogła. Ale ona nie uważała tego za miłosierdzie, tylko za obowiązek, aby styranym w jej służbie ludziom nie dać umierać pod obcym płotem.

Po długiej chwili milczenia, kiedy już ogrodnik ukończył litanią do Najświętszej Panny, ozwała się kobieta najbliższej komina siedząca:

— Nie wiem co to jest, ale coś bardzo ciężko mi dzisiaj na sercu.

— Ot goni się na dworze, ta i cała rzecz, odparł młody parobczak, poprawiając drwa na kominie.

— Wy bo Nastko wtedy płaczecie, gdy się cieszyć trzeba, ozwał się ślepy kucharz z za pieca.

— A z kąd mi cieszyć się dzisiaj? zapytała blada kobieta.

— Wszak konkurent do panny przyjechał, odparł kucharz, a w takim razie coś zawsze się dzieje.

Kobieta zwróciła oczy na ogień i zamyśliła się. Kucharz nadstawił do komina jedno, a potem drugie ucho, ale w piekarni była cisza. Za oknami tylko pluskał deszcz, a wiatr skrzypiał bramą na zardzewiałych wrzeczadkach.

— A to kara boża za wami Nastko! zawołał po chwili kucharz, jak tylko wspomnieli coś o żeniactwie, zaraz wam jakby gębę zamurował. W imię Ojca, Syna i Ducha świętego! a cóż tam takiego wam w głowie siedzi? Czy chcecie jeszcze iść za drugiego męża?...

Oczy kobiety błysnęły światłem fosforowém, na twarz wystąpił wyraz cierpienia. Podniosła głowę, jakby ją kto nagle wśród snu przebudził, i powiodła okiem po piekarni. Ujrawszy młodych parobczaków, rzekła do nich:

— Coś mnie dzisiaj strasznie niepokoi. Chroń Boże od jakiego nieszczęścia. Idźcie Walek i Szymek na obórę. Złodzieje mogą korzystać z burzy na dworze, a z gości u pani. Obejrzyjcie wszystko naokoło. I tak Zagraj szczekał na kogoś przed chwilą.

Młodzi wygarnęli z ognia po kilka ziemniaków, włożyli je w zanadrze i wyszli z piekarni. Kobieta wyprowadziła ich tęsknym wejrzeniem, a zwróciwszy się do ognia, popadła znowu w zamyślenie.

Kucharz przechylał głowę to na prawo to na lewo, a gdy się przekonał że parobcy już wyszli i że zgolił nikogo z obcych nie było w piekarni, przysunął się bliżej i rzekł do kobiety:

— Słuchajcie Nastko, czy niema nikogo?

— Niema, odpowiedziała kobieta.

— Jaby z wami chciał raz na seryo pogadać.

— O czémże chcecie gadać?

— Hm, hm, ot tak o różnych rzeczach, o dawnych, dawnych czasach — a możemy gadać bez obawy, bo Jacenty już na piękne ogłuchł. Strzelaj z armaty, a on nie słyszy.

— Pst, rzekła kobieta cichym głosem, przykładając palec do ust. Jacenty to frant, wy go nie znacie. On więcej udaje głuchego. Wprawdzie oddawna słyszy już tępo, ale przecież tak całkiem głuchym nie jest, jak myślicie.

Kucharz zwrócił się ku stronie gdzie ogrodnik siedział i niejaki czas nadśluchiwał. Ale ogrodnik oparł się o mur komina i już chrapał na piękne. Po niejakej chwili rzekł kucharz:

— Że słyszy coś, o tém wiem, bo czasem nawet z nim się rozmawiam. Ale trzeba mu w samo ucho krzyczeć. Teraz śpi.

Po chwili, gdy ogrodnik według wszelkich praw przyrodzonych chrapał, a nawet po niektórych ruchach jego widać było że śni o czémś, ozwała się kobieta:

— O czém to Mateuszu chcieliście mówić ze mną?

— Chciałem mówić o tém, odparł kucharz, przysuwając się bliżej komina, że wy coś musicie mieć na sercu, o czém tutaj we dworze nikt nie wie. Jak tylko kiedy mówi się o żenieniu, jak zagra muzyka do ślubu, to wy zaraz płaczecie, albo w smutku głowę zwieszacie.

Kobieta otarła lzy fartuszkami i rzekła:

— Oj Mateuszu, mam-ci ja wiele na sercu i nieraz myślałam sobie, gdyby to znaleźć człowieka, przed którym możnaby się wygadać, toby i sercu się lżej zrobiło!

— A cóż wam tak ciśnie? zapytał rozelekawiony kucharz.... mówcie przedemną jak przed księdzem,

ja nikomu nie powiem. To źle, że w sobie wszystko zamykacie, bo ludzie różnie zaraz mówią... a nawet mógłbym wam dziwne opowiedzieć rzeczy, chociaż temu wszystkiemu nie wierzę.

— Już to nigdy naprawdę ludzie nie mówią, odparła smutno kobieta, ale na to nie zważało się, gdy się było młodą...

Kucharz poskrobał się za uszami. Coś strasznie ciekawego było w tych słowach kobiety. Poprawił się na miejscu, na znak ciekawości i wyłożonej uwagi, a kobieta zaczęła:

— Przypominacie sobie zapewne, jest temu więcej może jak dwadzieścia lat, kiedy to do dworu przyszedł na służbę Jarema.....

— A Jarema! Jarema! przypominam sobie doskonale. Wyście byli młodem dziewczęciem, świeżem jak małgorzatka. A ten Jarema, to pasł krowy z wami i zdaje mi się... lubił was bardzo.

Kobieta wstrząsała się, jakby ją coś ukołło, i przejęta jakąś dziwną obawą, obejrzała się po kątach piekarni.

— Pocziwy był to chłopczysko, prawil dalej kucharz, lubilem go jak własnego syna. A jaki usłużny, a jak dobre serce miał, to szukać dzisiaj ze świecą.

Kobieta wlepiła oczy w ogień i zadumała się.

— Pamiętacie, mówił dalej gadatliwy gracyalista, jak to on razu jednego ukradł dla was kanarka, i zato miał mu Szymek.....

Kobieta wzdręgnęła się, jakby nagle w ogniu zmięła ujrzała, i głośno krzyknęła:

— Ja o Szymku nie wam nie mówiłam!

Na to niby obudził się ogrodnik, przetrzął oczy, a obejrawszy się po piekarni, rzekł do kucharza:

— Dziwna rzecz Mateuszu, Szymek śnił mi się. Pamiętacie Szymka, co to go w nocy Jarema.....

— Jarema mu nie zrobił! zawołała Nastka i zbladła nagle jak chusta.

Ogrodnik przymrużył oczy i badawczo zmierzył Nastkę. Potem uśmiechnął się i rzekł:

— Co to był za pocziwy człowiek ten Jarema! Żal mi go, gdy sobie przypomnę, jaki smutny los go spotkał. Pognali gdzieś biednego, że ani strzechy ojczyste, ani słowa po ludzku nie usłyszał! A może już zginął na wojnie! Mówią że był kilka razy w ogniu.

— Tego się dosłużył u nieboszczyka (nie pamiętaj mu tego Panie!) przerwał kucharz; oddali biedaka w kamaszel Przecież to była nieludzkość!

— A pamiętam, prosiłmi obaj mandataryusza za nim, mówił dalej ogrodnik, ale co ci ludzie! Czy oni serce mają, czy co?... A to wszystko przez was Nastko: zawróciliście mu głowę, a potem mizdrzyliście się do Szymka... I cóż, człowiek jeźli w gniewie, w złości... Święta Boża Rodzicielko, módl się za nami!... Naczyńie duchowe... módl się za nami!...

Na dworze coraz więcej huczał grzmot, coraz silniej szalała burza.

— W imię Ojca i Syna... krzyknął kucharz do ucha sąsiada, wy bo Jacenty teraz kiedy grzmi, wspomnienie o Jaremie, a wiecie że się go strasznie boję, od tej nocy zwłaszcza jak zniknął Szymek, a nad brzegiem znalazłono jego czapkę i chustkę.

— Jarema Szymkowi nie zrobił, zawołała znowu kobieta, a twarz jej drgnęła nieprzyjemnym uczuciem.

— Czy mu co zrobił, czy nie, o tém dzisiaj nikt nie wie, bo już i ryb tych niema, co go prawdopodobnie zjadły, wtrącił kucharz i przeżegnał się, bo mu nagle mrowie przez paciierz przeszło.

Kobieta otworzyła usta i chciała coś odpowiedzieć, ale konwulsyjny kurcz jakiś nie dał jej słowa wypowiedzieć.

— Ja wiem tylko, że Jarema był bardzo pocziwym człowiekiem, mówił dalej kucharz i rzewnymi łzami płakał, gdy go w rekruty wzięli... Przecież na innego pana, (święć panie nad duszą jego), toby mu pomógł wydobyć się z biedy; ale tak!... Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata! Wysłuchaj nas Panie!...

— Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi!... zaczął ogrodnik, a kucharz wtórował mu z całą pobożnością czystego serca.

I gdy tak pamięci pocziwego Jaremy i swemu własnemu sumieniu zadość uczynili, podniósł się ogrodnik z przypiecka i poszedł położyć się na tapczan, aby się snem spokojnym pokrzepić. I wkrótce, poleciwszy szczegółowo wszystkie członki swoje opiece opatrności boskiej, bez której wiedzy włos z głowy wypaść mu nie może, zaczął chrapać według wszelkich praw przyrodzonych, jak to zwykł czynić człowiek głębokim snem zdjęty.

Słyszając to kucharz, przysunął się do komina i rzekł do Nastki:

— No, teraz możecie kończyć, coście zaczęli opowiadać, bo strasznie ciekawy jestem.

Kobieta westchnęła głęboko, obejrzała się z jakąś bojaźnią po kątach piekarni i zaczęła po chwili:

— Przyznam się wam, że kiedy sobie przypomnę te czasy, jak to na cmentarzu koło cerkwi Jarema do mnie się zalecał, to bardzo smutno robi się na sercu. Wprawdzie nie był on tak ładny jak inni, ale lubił mnie, a może lubił szczerzej jak inni...

— Macie słusność. On was lubił aż do waryacyi. Ztąd też całe jego nieszczęście! wtrącił kucharz.

— Ale młodemu zazwyczaj to się podoba, co się świeci i zgrabnie kręci... a Szymek tak ładnie tańcował!...

— Oho, ho, mruknął kucharz, a w duszy szelma, pies! Znałem go dobrze i jego sprawki... Jarema był pocziwy, złoty chłopiec! Co za serce, co za dusza!... Anioł pański zwiastował!...

Kucharz odmówił trzy razy „Zdrowaś Marya“, bo nagle tak głośno zagrzmiło, jakby się dach walił. Po niejakiem czasie mówiła kobieta:

— Otóż co się dalej stało, to wiecie. Jarema oddano w rekruty, a w miesiąc potem poszłam za Waleka farnalą ze dworu.

Westchnawszy, rzekła po długiej przerwie:

— Ale ja Waleka nie lubiłam...

— Nie lubiliście Waleka? zawołał kucharz, a cześć szli za niego?

— Poszłam dlatego, bo mnie namówił ten którego lubiłam—odparła zcicha kobieta.

— Tak? rzekł na to kucharz i rozdziawił gębę.

Czas jakiś trwało milczenie; poczem mówiła znowu kobieta:

— Ciężko za to pokutuję, bo we dnie i w nocy nie mam spokoju... W kilka miesięcy po ślubie, za moją namową, odprawił się Walek ze służby i poszliśmy oboje do miasta, gdzie Walek zgodził się za stróża do sklepu.

Kobieta otarła łzy fartuszkami i mówiła po chwili:

— Ten któremu lubiłam, był wtedy w mieście. Ztąd pochodziły częste kłótnie między mną a Walekiem. W końcu rozchorował się Walek i umarł w szpitalu, a jam wyjechała z miasta z tym któremu lubiłam!...

— I któż to był... Jarema? zapytał z ciekawością kucharz.

Zdawało się kobiecie, że kucharz tak dziwnie wymówił imię Jaremy, jak jeszcze nigdy nie słyszała. I w samej rzeczy tak szczególne jakieś echo odpowiedziało ze wszystkich kątów piekarni, że kobieta mimowolnie się wzdręgnęła, a ogrodnik, przebudziwszy się, stanął na ziemi równymi nogami i głośno zaczął odmawiać:

— Oredowniczo nasza! Święta Boża Rodzicielko! Módl się za nami!... Rószczko Aarona—wiesz z kości słoniowej!...

I nie dokończył, bo właśnie w tej chwili jasna błyskawica przeleciała wzdłuż nieba, a na szybach okna odbiła się jakaś straszna postać.

Ogrodnik i kobieta krzyknęli z przerażenia; a tym czasem straszny grzmot zatrzęsł dachem, aż krokiew zatrzęszczała!

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZMAITOŚCI

Zbieramy troskliwie szczegóły po naszych znakomitych pisarzach, ażeby posłużyć mogły kiedyś do skreślenia dokładnych życiorysów. Otóż wiadomo jakie błędne wieści chodziły długo o Antonim Malczeskim autorze *Maryi*, które niedawno dopiero rozjaśniono. Przesyłam ci więc, szanowny redaktorze, list Tadeusza Czackiego, pisany d. 8 czerwca 1810 r. z Porycka do Antoniego Jurkowskiego, na którego opiece pozostawał nasz poeta, pobierając nauki w Krzemieńcu. Wielki ten mąż, jak widać z poniższego listu, liczył Malczeskiego do najpięrszych uczniów swęj szkoły.

„Wielmożny mości dobrodzieju!

Zbliża się dzień imienin w pana dobrodzieja. Jestto uroczystość dla jego przyjaciół, a poehlebiam sobie, że mi pozwalasz być w ich liczbie. Winieniem mu wiele, za czynny rząd w gimnazjum. Składam razem i dzięki i życzenia. Racz je przyjąć. Bądź szczęśliwym, żyj długo, a licz między wspólne nam pomyślności sławę naszej ukochanęj szkoły.

Racz w. pan dobrodzieju przyjąć upewnienie o wysokim szacunku, z którym main honor zostawać

W. Pana dobrodzieja najniższy sługa
Tadeusz Czacki.

Dzień imienin w. p. d., jest także dniem równie uroczystym dla jego wychowanka, a *najpięrszego naszej szkoły ucznia, jp. Antoniego Malczeskiego*. Racz mu moje powinszowanie szczerze złożyć.“ (z autografu).

K. Wł. W.

Ludwik Bierkowski.

(Dokończenie).

Ludzie mało świadomi rzeczy, powszechnie robią zarzut i mają za złe Bierkowskiemu wydanie tych dzieł w języku niemieckim. Nie ulega wątpliwości, że z uczuciem rozkoszy, szczęścia nawet, powitalibyśmy i autora i dzieła wydane w języku ojczystym. Ale historia wszędzie szuka prawdy; wierni zasadzie: „*de mortuis nec bene, nec male, sed verum*“, czujemy się w obowiązku usprawiedliwić naszego rodaka z tak krzywdzącego zarzutu. Bierkowski, pomimo najgorętszej chęci, w latach 1825 i 1827 nie mógł wydać dzieł tych w języku polskim. W Poznaniu, gdzie się urodził Bierkowski, nie było wyższego naukowego zakładu; uczył się przeto pośród Niemców w Berlinie i pod kierunkiem profesorów Niemców rozpoczął swe prace. Wydanie tych dzieł wymagało nader znacznego nakładu, który tylko mógł podjąć księgarz Niemiec, licząc odbyć dzieła na całą Europę, a przynajmniej na całe Niemcy, w których właśnie słońce dla chirurgii jaśnieć dopiero zaczynało. Bierkowski był biedny, honorarium od nakładcy dzieła za swe prace otrzymane obracał na codzienny chleb powszedni; jakiemiż więc środkami mógłby wydać po polsku tak kosztowne dzieła? Groby mecenasów nauki pokryte grubą warstwą pleśni; przedpłata na dzieło naukowe zwykle nie znajduje zwolenników, a przynajmniej nader szczupłą ich liczbę; u wszystkich księgarzy na polskiej ziemi horyzont wciąż mglisty; o kosztownym nakładzie naukowego dzieła i teraz żaden z nich słuchać nawet nie chce. Rząd pruski, pod którym Bierkowski się znalazł, nie wydawał dzieł polskich; istniejące w owej epoce trzy uniwersytety polskie: krakowski, wileński i warszawski, niedosyć jeszcze znały 250-letniego uczonego rodaka, żeby mu aż w pomoc w wydawaniu dzieł jego przyjść miały. Cóż zostawało młodemu Bierkowskiemu?

Nic więcej, jak szlachetny zapal do nauki i mozolne trudy sprzedać za lichy kawałek chleba, ażeby nim zbgacić księgarza Herbiga. I za tyle poświęcenia mamy jeszcze złorzeczyć Bierkowskiemu? Zaszczyt owszem i jemu i nam za jego dzieła, bo jedno więcej imię polskie stało się przeto głośnem w uczonym świecie!

Po wysłuchaniu kursów medycyny na berlińskim uniwersytecie, poprzedzony już autorską sławą, zwyczajem w Niemczech przyjętym, na początku 1828 r. Bierkowski udał się w naukową podróż, celem zwiedzenia uniwersytetów. Nasamprzód przybył do Jeny, gdzie po złożeniu egzaminów z nauk przyrodzonych, otrzymał stopień doktora filozofii d. 2 lutego 1828 r. Po zawiązaniu stosunków naukowych z profesorem chirurgii J. Ch. Starkiem, z Jeny udał się do Wrocławia i tutaj przykładał się jeszcze do chirurgii, pod kierunkiem profesorów Benedicta, Wendta i Seeriga, dobrze zasłużonych niemieckiej chirurgii wielą przez się wydanymi dziełami. Z Wrocławia pośpieszył do Bonn, nowego jeszcze uniwersytetu, a już głośnego sławą znanego chirurga Ph. Fr. v. Walthera. Następnie zwiłżał Gettynę, gdzie słuchał chirurgii u Langenbecka (stryja), jednego z najoświecieńszych niemieckich chirurgów owego czasu. Ztąd, w celu zapoznania się z profesorem chirurgii Cheliussem, przybył do starożytnego Heidelberga, gdzie jeszcze w 1509 roku Melancthon się uczył, a potem czas niejaki spędziwszy w Monachium, przybył do Paryża. Tutaj nowe otworzyło się pole zajęć dla Bierkowskiego: w jednym tém mieście znalazł ześrodkowane całe Niemcy razem wzięte. Liczne szpitale, a w nich żywem słowem i w praktyce wykładana chirurgia, codziennie w kilkunastu miejscach, (amfiteatry, kliniki, szpitale) mocno zajęły Bierkowskiego. Przyzwyczajony do poważnego, ciężkiego wykładu profesorów niemieckich, porwany został ognistością słowa Dupuytrena, Sistranica, Roux i wielu innych, uczuł, że znajduje się w innym żywiole. Na tylu katedrach ani razu nie usłyszał wymówionego imienia niemieckiego; przekonał się, że tutaj samodzielnie opracowuje się chirurgią, że jedno miasto zamknęło w sobie talenta całej Francji na korzyść całego świata. Przejęty czcią dla potomków Jean Pitarda, jał się tutaj do pracy około anatomii i chirurgii; zbadałszy kierunek tych nauk i sposób ich wykładu, z zalem opuścił Francję, tę od tylu wieków klasyczną ziemię chirurgii. W ciągu lat ośmiu pracując nad naukami lekarskimi i szczególnie zbiegiem okoliczności pod kierunkiem najlepszych profesorów, skromny z natury Bierkowski, uznał jednak sam, że z zapasem zbieranych wiadomości będzie mógł być użyteczny rodakom, i z Paryża kierował swe kroki ku rodzinnej ziemi. Przejeź-

dając przez Niemcy, zatrzymał się w bogatym domu w pamiętce Lipsku i 19 maja 1829 r. po obronie rozprawy p. t.: „Dissertatio inauguralis, exhibens moschii historiam naturalem et medicam“, otrzymał stopień doktora medycyny i chirurgii. W Lipsku znalazł życzliwych dla siebie profesorów, anatoma A. C. Bocka i chirurgów G. A. Kuhla, biegłego znawcę chirurgii angielskiej i J. C. W. Wathera. Z częstych rozmów z professorem Kuhlem, poznał Bierkowskiego stan chirurgii w Anglii, sposób wykładu i praktyki chirurgicznej w szpitalach, i tym w części wynagrodził niemożność osobistego zwidzenia Anglii, gdzie tyle szkół lekarskich kwitło i tylu znamienitych chirurgów jaśniało, jak: Hunter, Bell, Cooper, Pott, Abernethy.

Bierkowski, wróciwszy z obcych krajów, wychodząc może ze starej zasady, że „*nemo propheta in patria sua*“, postanowił stale zamieszkać nie w miejscu rodzinnym Poznaniu, ale w Wilnie lub w Warszawie, albo też, co prawdopodobniej, spodziewał się tutaj znaleźć obszerne pole do pracy, bo w Wilnie i w Warszawie istniały jeszcze uniwersytety. Jakoż w połowie 1830 r. przybył do Wilna, gdzie po złożeniu egzamenów, otrzymał potwierdzenie naukowych stopni, a nadto uzyskał nowy stopień urzędowy operatora (20 września 1830); ale z powodu że od niejakego czasu rodzina Bierkowskiego już była osiedliła się w Warszawie, i nasz młody doktor z Wilna pośpieszył do stolicy królestwa, gdzie 20 października t. r. od kommissji rządowej spraw wewnętrznych otrzymał pozwolenie do praktyki lekarskiej.

Bardzo prędko poznała Warszawa Bierkowskiego jako biegłego i zręcznego chirurga; na ustalenie zaś jego chirurgicznej sławy przeważnie wpłynęła ta okoliczność, że przyjął posadę lekarza ordynującego w oddziale chirurgicznym szpitala starożytnych, gdzie miał sposobność wykonania w krótkim czasie kilku ważniejszych operacji. Pobyt atoli Bierkowskiego w Warszawie był niedługi: w tym właśnie czasie, kiedy tak zaszczytnie rozpoczynał swój zawód lekarski w naszej stolicy, w Krakowie umarł Sykstus Lewkowicz, professor chirurgii w uniwersytecie jagiellońskim.

Zaluski odniósł się do profesora berlińskiego Rusta z prośbą, azaż jako stojący na czele chirurgii w pobliskim nam uniwersytecie, do którego w owym czasie mnóstwo już uczęszczało Polaków, nie zna naszego rodaka zdolnego do objęcia katedry, którą on sam na lat kilka przedtem tak zaszczytnie zajmował. Wybór dla Rusta był łatwy, znał bowiem dobrze zdolności i niezmordowaną pracę Bierkowskiego, i najgoręcej go Zaluskiemu polecił. W skutek tego kurator generalny zakładów naukowych wolnego miasta Krakowa, z upoważnienia rządzącego senatu, wezwał Bierkowskiego na profesora chirurgii pod d. 5 listopada 1830 r. Bierkowski, znając własne siły i idąc za naleganiami Rusta, tak zaszczytnie dla siebie wezwanie przyjął, i w styczniu 1831 r. przybył do Krakowa. Wprowadzony przez rektora Girtlera w poczet profesorów, d. 9 lutego 1831 r. rozpoczął wykłady chirurgii teoretycznej i operacyjnej, okulistyki i syfilidologii. Tymczasem na ten raz niedługo bawił w Krakowie: w lutym jeszcze t. r. powołanym został do Warszawy i objął naczelne zawiadywanie nad lazaretami. Ta okoliczność na samym wstępie do professorского zawodu nastąpiła Bierkowskiemu obszerna chirurgiczna praktyka, z której poczerpnięte bogate naukowe zasoby, potrafił obrócić na korzyść ludzkości. Po skończonym chlubnie posłannictwie, wrócił do Krakowa w końcu roku 1831.

Tu zaczął się właściwie trzydziestoletni nauczycielski zawód Bierkowskiego. Miał on dopiero lat 29 wieku; wykształcony teoretycznie podług zasad ówczesnej eklektycznej szkoły Hufelanda, biegły już anatom i zręczny chirurg, pełen młodzieńczego zapału do nauki, a najlepszych chęci dla zakładu, ze znaną już powszechnie gorliwością przystąpił do nowych prac, ześrodkowując je w podwójnym kierunku, jako professor chirurgii w połączeniu z okulistiką i położnictwem praktycznym wraz z kliniką położniczą. Od tych dwóch ostatnich przedmiotów, z powodu utworzenia oddzielnej dla nich katedry, został uwolniony w r. 1833, choroby zaś oczy wykładał do r. 1831. Od pierwszej chwili przyjęcia obowiązków profesora, szczególną zwrócił pieczę na klinikę chirurgiczną. Znalazł ją w smutnym stanie: ośm łóżek nie wystarczało dla demonstracji chirurgicznych chorób, czemu zaradzając, natychmiast urządził klinikę ambulatoryjną, czyli tak zwaną leczniczą dla przychodzących, w której co rok po kilkaset biednych chorych znajdowało lekarską radę i pomoc, a przytęm materiały naukowe dla uczących się młodzieży znacznie tym sposo-

bem się pomnożył. Po upływie zaraz pierwszego roku naukowego, złożył sprawozdanie z czynności powierzonej sobie kliniki i takowe pod napisem: „Rocznik obejmujący zdanie sprawy z czynności kliniki chirurgicznej i położniczej uniwersytetu jagiellońskiego, od 1 października 1831 r. do 1 lipca 1832 r.“ w Krakowie wydrukował i dochód ze sprzedaży „Rocznika“ na podtrzymanie apteczki, już przedtem ze składek utworzonej, przeznaczył. Jest to piąta praca Bierkowskiego w języku polskim na świat wydana, a pierwsza od przybycia jego do Krakowa. Przedtem już ogłosił drukiem w Pamiętniku lekarskim warszawskim: 1) O transfuzji, czyli o przelaniu, lub przetoczeniu krwi (t. II str. 193—174); 2) Opisanie szczegółowe mego aparatu do transfuzji, jakoteż rurki pojedynczej, której do robienia doświadczeń na zwierzętach najwięcej używałem (t. II str. 286—292) z ryciną; 3) Operacja zrakowacięcia, książki prostej wykonana przez Lisfranca. Przykład nadzwyczajnie wielkiej wtroby, połączonej z tumorem torebkowym znacznej wielkości, zawierającym w sobie hydady (t. II str. 453—473). Rocznik zawiera w sobie całkowitą historię kliniki pod względem administracyjnym i naukowym; znajdujemy tutaj wykazane fundusze kliniczne, liczbę uczęszczających na klinikę, wykaz operacji wykonanych i naukowo opracowane główniejsze przypadki chorobowe. Do dziejów kliniki krakowskiej szacowny to przyczynek. Bierkowski dwoma jeszcze podobnymi obdarzył szkołę krakowską, wydając w tymże kierunku i rozmiarze roczniki za rok 1832 (od 1 października 1832 do 1 lipca 1833) i 1833 (od 1 października 1833 do 1 lipca 1834). W ostatnim nie znajdujemy już sprawozdania z kliniki położniczej. W ciągu trzech akademickich lat wykonano w klinice chirurgicznej uniwersytetu Jagiellońskiego 438 operacji. Szkoda wielka, że Bierkowski z rokiem 1834 zaprzestał wydawania swoich roczników; wydawane bez przerwy, odsoniłyby nam całą działalność nauczyciela, jego własny postęp naukowy, oraz wzrost lub też upadek instytucji. W każdym naukowym zakładzie, zwłaszcza w praktyczno-lekarskim, roczne szczegółowe sprawozdania są konieczne, gdyż budzą one nieraz do nowego życia gasnącą stopniowo gorliwość profesorów, zmuszają ich do ciągłego śledzenia za rozwojem nauki, a wypędzając wkradającą się do zakładów rutynę, tworzą domową tradycją naukową własną, wciąż jednak o nowych siłach idącą naprzód. Gdyby Bierkowski w ciągu 26 lat ostatnich nauczycielstwa swego wydawał dalej Roczniki, napisalby, pomimo swej wiedzy, nie tylko najlepszy własny życiorys, ale nadto przedstawiłby obraz rozwoju chirurgii w całej Rzeczypospolitej krakowskiej. D. 15 listopada 1831 r. obrany został członkiem Towarzystwa naukowego krakowskiego.

Oprócz klinik, zajmował Bierkowskiego urządzenie gabinetu narzędzi chirurgicznych, machin i bandażi, który znacznie wzbogacił częścią przyrządami własnego pomysłu, częścią kupnem ze szczupłych funduszy kliniki, lub też z ofiar prywatnych osób; pomimo to jednak gabinetowi temu brak wielu narzędzi nowoczesnych, n. p. przyrządu galwanokaustycznego, ekrazeru i innych. Bierkowski ma też niezaprzeczone zasługi w urządzeniu muzeum anatomicznego, które jemu prawie wyłącznie zawdzięcza swe istnienie. Znajdujemy tutaj piękne odlewy gipsowe główniejszych chirurgicznych chorób leczonych przez profesora, oraz rzadkie okazy patologiczne przy otwieraniu ciał zmarłych w amfiteatrze patologicznego anatomii przez rozmaitych profesorów uzbierane. O tym gabinecie podał Bierkowski wiadomość w tomie VIII str. 111—118 Roczników wydziału lekarskiego, p. n. „Kilka słów o początku i wzroście zbioru anatomiczno-patologicznego w zakładzie klinicznym uniwersytetu jagiellońskiego.“ Tak skrzętnemu pracownikowi około podźwignienia zakładu któremu przewodniczył, wszystko szło po myśli; napotkał tylko jedną przeszkodę, nader trudną do przezwyciężenia i tym boleśniej dla człowieka myśli jak Bierkowski, że brła źródło w ciemności naszego narodu: tą przeszkodą był zakorzeniony wstręt mniej oświeconej publiczności do kliniki. Sądono że odbywają się tam same próby i kłania; ale najprzystojniejsze utrzymanie chorych, skutecznie podana pomoc w najbardziej zrozpaczonych wypadkach, łagodne, z godnością połączone obejście się z chorem, wyrugowały ostatecznie ten przesąd i przekonała się publiczność, że klinika jest świątynią, a łożo cierpienia chorego ołtarzem dla doktora. Wkrótce też nie miał doznać wewnętrznej radości Bierkowski, kiedy ujrzał garnących się do kliniki ludzi wszelkiego stanu, z odległych nawet stron naszego kraju; klinika stała się rejonem światłej pomocy i prawdziwie ojcowskiej pieczy około chorych. Bierkowski znał dobrze kraj rodzinny, wiedział z przekonania, że w czasie świąt kościelnych seciny kalék

zalegają parafialne cmentarze, lub też podczas jarmarków zasiadają na publicznych drogach, wyciągając pokalęczone członki po codzienny kawałek chleba. Smutny ten zwyczaj nędzarzy, świadczący o zupełnym u nas zaniedbaniu zakładów wzajemnej pomocy, dla chirurgii przedstawia bogaty materiał; odwiedzał też Bierkowski te publiczne miejsca, rzadsze przypadki kalécw zabierał do swej kliniki, mniej ważne operacje wykonywał na miejscu, i tym sposobem przynosił podwójną korzyść: z jednej strony biednym, zdejmując im katarakty, wyluszczaając guzy, lub prostując skrzywienia kończyn, z drugiej zaś dając swym uczniom sposobność obserwowania rzadkich chirurgicznych przypadków. Podobne wycieczki w celu naukowym i niesienia pomocy biednym, bynajmniej nie ujmują godności nauce, jak to niektórzy zarzucali Bierkowskiemu, ale przeciwnie zaszczyt jej przynoszą, bo zadaniem nauki jest służyć ludzkości, szukać cierpiących, a nie chronić się przed nimi.

W r. 1833, w skutek nowej reorganizacji uniwersytetu, w klinice chirurgicznej do ośmiu łóżek dodano jeszcze cztery, przeznacząc je dla chorych na oczy. Był to pierwszy zawiązek oftalmologicznej kliniki w krakowskiej szkole, prawda zbyt skromny, ale na nieszczęście i po dziś dzień na téjże samej zostający stopie. W tymże roku, przychodząc w pomoc słuchaczom, Bierkowski ogłosił drukiem swój wykład syfilidologii p. n. „Choroby syfilityczne, oraz sposoby ich leczenia.“ Część 1sza (X. V. 154 str.) Kraków. Zapowiedziana część druga tego dzieła, z powodu braku kupujących, nie wyszła z druku. W obecnej chwili, kiedy nauka o téj chorobie tak radykalnie się zmieniła, dzieło powyższe ma li tylko historyczną wartość.

Dnia 12 listopada 1836 roku Bierkowski został członkiem Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Opracowując z głęboką znajomością rzeczy wszystkie gałęzie chirurgii, miał zamiar otworzyć w Krakowie zakład ortopedyczno-gimnastyczny i w tym celu, jako przedwstępne studia nad tym przedmiotem, ogłosił drukiem w 1837 małych rozmiarów dzieło p. n. „Kilka słów o ważności, potrzebie i użytku gimnastyki“ w którym dowodzi, że kształcenie umysłowe powinno być w harmonii z wychowaniem fizycznym.

Po pięciu prawie wiekach istnienia, a w lat 58 po swoim odrodzeniu, wydział lekarski uniwersytetu jagiellońskiego po raz pierwszy w r. 1838 zaczął wydawać roczne sprawozdania ze swoich czynności, p. n. „Rocznik wydziału lekarskiego w uniwersytecie jagiellońskim.“ W tym zbiorze prac uczonych krakowskich, professor Bierkowski najczynniejszy udział przyjął. W tomie pierwszym pomieścił następujące rozprawy: 1) Opis przerostu języka, lezonego w klinice chirurgicznej (z ryciną); 2) kilka słów o skutkach jodu; 3) o leczeniu złamań obojczyka za pomocą nowego, siodłem nazwanego przyrządu, wynalazku autora. W tomie drugim: spostrzeżenia i uwagi w przedmiocie chirurgii praktycznej. W tomie czwartym: kilka słów o operacji zezowości, któremi zaznajomił polską publiczność z naukowymi zasadami téj nowej operacji, wynalezioną i tak często dokonywaną nawet w Warszawie, przez berlińskiego profesora Dieffenbacha. (1) W tomie piątym rocznika wydrukował: Opis

(1) Nad operacją tą, która stanowi erę w dziejach chirurgii i prawdziwy przynosi zaszczyt nauce, dowodząc ciągłych i świetnych postępów chirurgii, uważamy za potrzebne zastanowić nieco uwagę czytelników. Operacja ta, zależąca na podskórnym przecięciu ścięgna i mięśni, bez zadania bólu choremu i bez utraty krwi, która tysiące uleczyła kalek zezowatych i ze skrzywionymi kończynami, u nas poraz pierwszy została opisana przez pr. Bierkowskiego. Co do zasady swej nie jest to wcale wynalazek nowy. W r. 1784 niemiecki uczone Thilenius przecięciem ścięgna Achillesa uleczył 17-letnią dziewczę od brzydkiego kalécwa, skrzywienia nogi; w r. 1806 Sartorius powtórzył tę operację, którą w 1810 r. razy kilka jeszcze zrobili Michaelis. Professor w Montpellier Delpech w 1816 r. ze znajomością naukowej podstawy wykonał ciąć ścięgna Achillesa, bez przecinania skóry, i on właściwie nazywać się powinien twórcą téj operacji; ale na jego zmartwienie rezultat nie był zupełnie szczęśliwy. Zazdrośny Paryż nie przyjął wtedy téj operacji i sam Delpech do czasu ją zarzucił. Szkoda wielka! Trzy znakomite naukowe postacie: Byron, Walter-Scott i Talleyrand mieli właśnie skrzywienia nog, skarżyli się na nie często, gdyby więcej charakteru, uleczyłby z kalécw swoich kolegów rozum i nauki, a przedwcześnie zstępując do grobu jako chirurg-męczennik, (zamordowany był przez chorego, któremu zrobili operację) znalazłby w nich szerzycieli własnej swej chwały i chwały chirurgii. W r. 1822 Dupuytren wprowadził do chirurgii przecinanie mięśnia sutkowatkoatego, celem uleczenia skrzywienia głowy na bok. Zaczynając od 1831 r., prof. Strohmeier rozpowszechnił operację przecinania ścięgna na całą Europę; zaczęli robić doświadczenia nad zwierzętami Ammon (1837), Bouvier (1838), Pirogów (1840), Guérin i prócz ścięgna, zastosowali tę operację do przecinania mięśni, powięzi, więzadeł i nerwów; następnie zaczęli badać sposób odradzania się i zrastania przeciętych tkanek, przez co nie mało wyświadczyli usług fizyologii. W 1838 r. zaledwo Strohmeier wypowiedział myśl o możebności leczenia zezowości za pomocą przecinania mięśni rządzących ruchami oka, a już w 1839 r. Dieffenbach

czterech nader rzadkich przypadków chorób, leczonych w tutejszej klinice chirurgicznej. W ósmym numerze tomie (1845): o operacji wargi zajęczy, ważniejsze przypadki chorobowe, leczone w klinice chirurgicznej - i spozstrzeżenia w przedmiocie praktyki lekarsko - chirurgicznej. Prócz tych artykułów, zamieszczał jeszcze Bierkowski krótsze sprawozdania o ruchu chorych leczonych w jego klinice, a nadto w oddzielnych broszurach wydał w 1846 r. „Kilka spozstrzeżeń w przedmiocie chirurgii uczynionych“ (w 8ce str. 39 Kraków) i w r. 1852 „O leczeniu wrzodów długotrwałych za pomocą wody ciepłej i zimnej“ (w 8ce str. 46.)

Dla przyjsia w pomoc swoim słuchaczom, zamieścił ogłoszenie drukiem odczyty swoje o chorobach oczu, i rzeczywiście zaczął je wydawać arkuszami; ale z braku funduszy na druk, po wyjściu czterech arkuszy, zaprzestał dalszego wydawnictwa i zaokrąglać niby pierwszą część swego dzieła, czterem pierwszymi arkuszami, które już były w obiegu, dał napis: „Rozpoznanie zapaleń ocznych w ogólności, a w szczególności samodzielnych.“ Kraków 1847 w 18ce XII 443. Jak w r. 1833 zmuszony był, z braku funduszy na druk, zamknąć wydawnictwo syfilidologii, tak w r. 1847 tenże los spotkał Bierkowskiego oftalmologią. Smutny to zaiste widok, niepojęta obojętność dla nauki! Ilość uczniów na medycynie zwykle bywała bardzo mała, bo uniwersytet za czasów Rzeczypospolitej krakowskiej, mianowicie od chwili jego reorganizacji w 1833 r., był odosobniony od całego świata, niewolno mu było przyjmować uczniów z zagranicy; uszczuplony kraj nie potrzebował dla siebie dużo lekarzy, a ztąd i niewielka ilość czytającej lekarskiej publiczności. Tracąc na wydawaniu dzieł w języku polskim, Bierkowski wziął się znów do pisania po niemiecku i nakładem berlińskiego księgarza Herbiga w r. 1847 zaczął wydawać „Chirurgische Erfahrungen.“ Dzieło to miało wychodzić poszytami, ale do śmierci Bierkowskiego wyszedł tylko jeden zeszyt (VI 224 str.) z 4 tabl. na miedzi rżniętymi i 27 drzeworytami. Następnie od r. 1850 zaczął się ukazywać „Chirurgisch-anatomischer Atlas, bestehend aus 60 bis 65 sauber gestochenen und naturgetreu illuminierten Kupfertafeln, nebst erklärendem Texte. Eine Pracht-ausgabe in sechs Lieferungen zu 10 bis 14 Tafeln. Berlin.“ Tego dzieła wyszły 2 zeszyty, trzeci był na dokończeniu, reszta w robocie. Ostatniem z pism Bierkowskiego, wydanych na 40 lat przed jego śmiercią, był „Wstęp do anatomii ciała ludzkiego“ jako urywek z rękopisu anatomii podręcznej, od wielu lat do druku przygotowanej. Zadanie swe następnym sposobem opracował: nasamprzód mówi o ważności stanowiska umiejętności i sztuki lekarskiej w społeczeństwie, tudzież o powołaniu lekarza; następnie rozbiiera anatomię jako umiejętność, mówi o jej uczeniu się, o podziałach w anatomii używanych i rzecz całą zamyka nauką o budowie ciała ludzkiego w ogólności. Dla poświęcających się umiejętności lekarskiej, przeczytanie tego małego dziełka (LX. 96 str.) nie będzie bez korzyści. Prócz tych drukiem ogłoszonych prac, pozostały jeszcze w rękopiśmie: 1) Chirurgia we wszystkich jej oddziałach i 2) Anatomia ciała ludzkiego.

Z tego krótkiego poglądu na naukowe życie Bierkowskiego przekonujemy się, że prace jego literackie, co do treści swęj, głównie dają się podzielić na anatomiczne i chirurgiczne, w połączeniu z syfilidologią i chorobami oczu; co do formy zaś, na dzieła wydane w języku polskim i niemieckim. Temi ostatniemi zyskał sobie chlubne imię w literaturze lekarskiej europejskiej, chociaż one w kraju ojczystym mało są znane; im też zawdzięcza wybór na członka akademii lekarskiej w Madrycie, w d. 6 listopada 1847 r.

Bierkowski z berlińskiego uniwersytetu wyniósł zamówienie do anatomii i chirurgii, i temu kierunkowi w ciągu całego życia pozostając wiernym, rękodzielniczą część tych dwóch gałęzi lekarskiej nauki

wykonął ją i samą operacyi, pod imieniem *myotomia ocularis*, prawo obywatelstwa w chirurgii zjednał, zrobiwszy ją na ludziach 1200 razy. Wielka to zasługa dla ludzkości; z uleczeniem bowiem zezowatości, znika z oczu chorych spojrzenie lęklive, chytne, z wyrazem na obliczu przebiegłości i podstęp. Paryżka akademія przeznaczyła dla Strohmeiera i Diefenbacha nagrody 6000 franków. Z rozwojem tej operacyi, zastosowano ją do leczenia zająkania się, zastarzałych zwichnięć i złamań kości, skrzywień stosu pacierzowego, sztywności stawów, przykurczenia palców i t. d. Słowem powstała w chirurgii nowa jej gałąź pod nazwaniem cięć podskórnych (*sectio subcutanea*), które zastosowywano do rozmaitych tkanek, organów a nawet i nowotworów, chociaż nieraz ich i bardzo nadużyto. Rozpowszechnienie w naszym kraju tej pożytecznej operacyi zawdzięczamy w części profesorowi Bierkowskiemu.

podniósł na wysoki stopień. Ztąd śmiałość jego, pewność i zręczność w wykonywaniu operacyi, przyniosły konieczne dla każdego chirurga, które zjednały Bierkowskiemu palmę pierwszeństwa między chirurgami polskimi. Prócz tego miał on wielką zdolność postrzegania i prędkiego nader sądu. Nieraz w czasie samej operacyi improwizował własne swoje metody, i zmieniał, ulepszał lub dawał pomysły do nowych zupełnie instrumentów i przyrządów; gabinet chirurgiczny krakowski nie mała posiada ich liczbę. Prócz chirurgii operacyjnej, wykładał jeszcze Bierkowski chirurgią teoretyczną i prowadził nadto klinikę.

Od czasu objęcia przez niego nauczycielstwa w szkole krakowskiej, patologia chirurgiczna ogromnie zrobiła postępy, anatomia zaś patologiczna nowe rozpoczęła życie. Wyznać musimy prawdę, że audytorium Bierkowskiego nie było tak wciąż ożywiane świeżą nauką, jakbyśmy tego po profesorze wymagać mogli; on cały pochłonięty anatomią chirurgiczną, nie przyswoił sobie wszystkich postępów, jakie na pięknym i obszernym polu lekarskiej wiedzy ciągle się zjawiały. Pojmował on sam to dobrze, i kiedy z objęciem katedry kliniki terapeutycznej przez uczonego Dietla, nowy naukowy żywioł zjawił się w uniwersytecie jagiellońskim, poważał Bierkowski naukowe poglądy swego kolegi i nieraz z nich korzystał. Zato poczynione postępy w drugiej części chirurgii, tak zwanej rękodzielniczej czyli operacyjnej, znajdowały w Bierkowskiem najgorętszego zwolennika. (1) Ucząc się młodzież znała dobrze talent Bierkowskiego, jego gorące chęci zaszczepienia smaku do chirurgii pomiędzy uczniami, i w uznaniu zasług jego w r. 1847, witając piękną mową swego nauczyciela, salę operacyjną ozdobiła portretem Bierkowskiego, z napisem: „dilectissimo magistro, grata juvenus“ (najukochańszemu nauczycielowi, wdzięczna młodzież). Była to najdroższa dla Bierkowskiego nagroda, dowodząca zaufania i miłości młodzieży którą nauczał i której służył. Przedtem jeszcze, w r. 1844, rządzący senat oświadczył Bierkowskiemu podziękowanie za gorliwość i niezmordowaną pracę koło światłego podźwignienia chirurgii w rzplęty.

W wykładzie swoim Bierkowski, chociaż nie błyszczał wymową, był jasny i dla każdego zrozumiały; w objęciu się z uczniami otwarty i przedewszystkiem lubiący prawdę; w postępowaniu z chorymi łagodny, chociaż częstokroć bardzo poważny i napozór nawet surowy. Oddany nauce i pracy z powołania, brał czynny udział w układaniu słownictwa lekarskiego polskiego i wiele przedmiotów w anatomii i w chirurgii zawdzięcza mu szczeropolskie nazwanie.

Bierkowski był jednym z najgorliwszych zbieraczy starych książek lekarskich polskich. W jego bibliotece oglądałem herbarze Stefana Falimierza, Szymona z Łowicza, Piotra Crescentyna, Hieronima Śpiczyńskiego, Marcina Siennika, Marcina z Urzędowa, Szymona Syreńskiego. Pokazując mi te drogie skarby naszej naukowej przeszłości, które on jako relikwie św. przechowował, przenosił się w ubiegłe czasy, podziwiał pierwotną czystość języka i zdrowy, chociaż nauką jeszcze nieoświecony rozum naszych przadków. Chwile z Bierkowskiem spędzone w Krakowie, chociaż zbyt krótkie, zaliczam do najprzyjemniejszych w życiu; jego ożywione ruchy, miłkie oblicze, z wyrazem myśli i dzielności na wyniosłym czole, mówiące, łagodne oczy, ściśnięte usta, — nazawsze mi utkwily w pamięci.

Jak na polu nauki umiejętność zdobywał pracą, tak mądrość życia czerpał z doświadczenia. Dnie całe poświęcając obowiązkom swego powołania jako profesor i lekarz praktyczny, pracując na polu piśmiennictwa lekarskiego i nad przygotowaniem do prelekcji, znajdował jeszcze wolne chwile dla swęj rodziny i szczupłego grona prawdziwych przyjaciół; lubiąć muzykę, śpiew, czytanie, pogadankę o rzeczach dawnych, bywał rozkoszą i ozdobą domowego kółka.

Pozналиśmy Bierkowskiego zaszczytnie i jako uczonego, i jako człowieka. Dodajmy że na polu piśmiennictwa lekarskiego należy on do bardzo szczupłego u nas grona mężów, którzy sławę i poszanowanie dla imienia polskiego szczyli poza granicami naszego kraju; zarozumiali nawet w rzeczach nauki Niemcy, po dziś dzień uczą się anatomii i chi-

(1) Rezekcyę kości, operacye plastyczne, kruszenie kamieni, podwiązanie większych naczyń, leczenie zwiężeń cewki moczowej za pomocą wewnętrznej lub zewnętrznej rozcięcia (urethrotomia), radykalne leczenie przepuklin i wiele innych operacyi wnet sprawdził, ocenił, a pod wielą względami zmienił i ulepszył Bierkowski tak dalece, że niema prawie operacyi, do którejby on nie przyłożył swęj mistrzowskiej ręki, niema instrumentu chirurgicznego, któregoby nie uprościł, nie zmodyfikował po swojemu.

rurgii na tablicach Bierkowskiego. Jako professor i piszący po polsku, był jednym z tych ludzi, co czynnie wpływali na podniesienie lekarskiej oświaty w kraju, a najbardziej na zaszczepienie smaku między Polakami do chirurgii. Pod tym ostatnim względem został najgodniejszym następcą Czerwiakowskiego, a jeżeli Czerwiakowski zasłużył na chlubne imię nestora chirurgii w Polsce, to Bierkowskiemu należy się niemniej chlubne miano dziekana współczesnych chirurgów polskich.

Trzej profesorowie: Czerwiakowski, Lewkowicz i Bierkowski, stworzyli w uniwersytecie jagiellońskim naukową chirurgiczną tradycję; pomimo to szkoła krakowska nie była po dziś dzień w stanie sama przygotować dla siebie professora chirurgii, a ta właśnie możebność przygotowania sobie profesorów, jest wspaniałą miarą naukowego rozwoju każdego wyższego zakładu. Na rozwój zaś nauki najwięcej wpływają, najprzód samodzielne prace samych profesorów i pod ich kierunkiem dokonywane prace skończonych uczniów, to jest młodych doktorów; powtóre, współzawodnictwo naukowe w instytucji docentów. Warunkom tym w naszych szkołach głównych nie prawie nie sprzyjało: profesorów samodzielnie nad nauką pracujących mieliśmy bardzo mało, a instytucja docentów dopiero jest w związku; docenci jak profesorowie występują na pole nauki tylko z kompilacyami, a młodzi lekarze, po wzięciu dyplomu w ręce, śpieszą nieść pomoc cierpiącej ludzkości, nie troszcząc się bynajmniej o losy nauki. Dobra, samodzielnie opracowana rozprawa doktorska należy u nas do największych rzadkości, a tymczasem rozprawa dobra jest najpożądniejszą, bo tutaj poczynający lekarz uczy się jak i nad czem ma pracować; nieraz od pierwszej pracy zależy cały kierunek dalszego naukowego życia.

Pod tym względem najsmutniejszy był stan w krakowskiej szkole; wiedział to Bierkowski dobrze i nieraz publicznie na to się użalał; wpływał też ile mógł na prace młodych lekarzy, ale niezawsze z najlepszym skutkiem. Uzupełni zapewne tę próżnię godny następca Bierkowskiego, uczony professor Bryk, który połączony na swęj katedrze świeżą dzisiejszą naukę, ze starą praktyczną doświadczeniem, i który bezwzględnie chętnie otworzył kolumny swego dziennika (Przegląd lekarski) dla młodych pracowników na polu chirurgii, własnym zachęcając ich do tego przykładem. Przygotowanie profesorów dla siebie, każda szkoła nasza powinna mieć sobie za najświętszy obowiązek, bo szkoły główne nasze zawsze były w odmiennych od uniwersytetów całego świata warunkach. Każdy uniwersytet może tylko żyć o własnych siłach, wyzywanie zaś cudzoziemców na profesorów należy do anomalij, dając dotykane świadectwo o naukowej biedocie narodu, nie przynosi mu zaszczytu i przypomina ciągle jego niemowlęstwo, bez wzrostu i dojrzewania.

Ostatnie dziesięć lat swojego życia poświęcił Bierkowski opracowaniu podręcznych dzieł o chirurgii i anatomii, które w zupełności ukończone, pozostają w rękopiśmie; nie mając ich pod ręką, nic o tych pracach powiedzieć nie możemy.

Silna budowa ciała zdawała się rokować Bierkowskiemu długie życie i dozwolić wydania mnóstwa dzieł już rozpoczętych w druku, lub też zostających jeszcze w rękopiśmie. Lecz kiedy gorliwy ten pracownik tak starannie krzątał się około swego dzieła, na wiosnę 1860 r. objawiła się w nim choroba wątroby, bezwzględnie oddawna w zarodzie będąca, i nagle wzrastać zaczęła. Sam biegły lekarz, zrozumiał dobrze, że ma raka wątroby, chorobę nieuleczoną. Znosił swe cierpienia z prawdziwie stoicką cierpliwością, nie dał poznać swego niebezpiecznego stanu okružającej go rodzinie, i dopiero kiedy siły go opuszczały prawie gwałtownie, wyjechał z Krakowa do Krzeszowic. Ale ani spokój, ani czyste wiejskie powietrze nie mogły wywrzeć zbawiennego wpływu na jego zdrowie; objawy choroby codziennie przybierały gorszy charakter i d. 27 czerwca 1860 r. Bierkowski w 39 r. życia umarł, pogrzebiony w Krakowie.

Ciężka to strata dla kraju. Polska straciła w Bierkowskiem najlepszego swego chirurga, Kraków jeden z najdzielniejszych filarów swęj głównej szkoły. W ciągu lat 30 bez przerwy służył Bierkowski uniwersytetowi jagiellońskiemu, dzielił zle i dobre jego koleje, niemało mu dodał blasku i świetności, a pracami swojemi uszczęknął dla siebie wieńiec, który skronie jego po wsze czasy zdobić będzie. Imię Bierkowskiego zajmie zaszczytne miejsce w dziejach chirurgii w Polsce.

P. Girsztowt.